

# Omyłka



BOLESŁAW PRUS

## Omyłka

Dom mojej matki stał na brzegu miasteczka, przy ulicy obwodowej, wzdłuż której mieściły się budynki gospodarskie, sad i ogród warzywny. Za domem ciągnęły się nasze grunta<sup>1</sup>, zawarte między drogą boczną i pocztowym gościńcem. Ze strychu, gdzie znajdował się pokój brata, w zwykłym czasie napelniony rupieciami, można było zobaczyć z jednej strony kościół, rynek, żydowskie sklepiki i starą kapliczkę św. Jana, z drugiej — nasze pola, potem olszynę, dalej głębokie wąwozy zarośnięte krzakami, wreszcie — samotną chatę, o której ludzie wspominali z niechęcią, a niekiedy z przekleństwem.

Miałem wówczas lat siedem i chowałem się przy matce. Była to kobieta wysoka i silna. Pamiętam jej twarz rumianą i energiczną, kaftan podpasany rzemieniem i pukające buty. Mówiła głośno i stanowczo, a pracowała od rana do nocy. O świcie była już na dziedzińcu i oglądała krowy, konie, kury — czy nie dzieje się im jaka krzywda i czy dostały jeść. Po śniadaniu szła w pole, zbaczając do chorych, których w miasteczku nigdy nie brakło. Gdy wracała do domu, czekali na nią różni interesanci: jeden chciał kupić bydłatko, drugi pożyczyć zboża lub pieniędzy; ta radziła się o kaszlące dziecko, a tamta przyniosła na sprzedaż garstkę lnu. Prawie nie mogę wyobrazić sobie matki samotnej; zawsze kręcili się przy niej ludzie i jak gołębie przy gołębniku, prosząc o coś lub za coś dziękując. Ona w całej okolicy wszystkich znała, wszystkim pomagała i radziła. Rzecz, zdaje się, niegodna wiary, a przecie tak było, że nawet ksiądz proboszcz i pan burmistrz przychodzili zasięgać jej zdania. Ona rozmawiała z nimi, robiąc pończochę, a następnie, jak gdyby nic, biegła doić krowy. Umiała też w razie potrzeby zaprząć konie do wozu i wyjechać po snopy, a nawet drzewa narąbać. Wieczorami szła bieliznę albo łątała moje odzienie; w nocy, gdy psy mocniej ujadaly, zrywała się z łóżka i, ledwie odziana w grubą szlafrok, obchodziła budynki. Raz wystraszyła złodzieja.

Chłopi, panowie, dzieci, chorzy, zwierzęta, drzewa, nawet kamień przy wrotach — wszystko ją obchodziło. Tylko o chacie stojącej za naszymi polami nie wspominała nigdy. Jej mieszkańcy musieli być bardzo zdrowi i szczęśliwi, gdyż mama wcale nie zaglądała do nich.

Ojciec mój od kilku lat nie żył; pamiętam go o tyle, że co dzień ofiarował Bogu pacierz za jego duszę. Raz, kiedy był bardzo senny i poszedłem spać bez pacierza, pokazała mi się w nocy dusza ojca na ścianie. Była jasno-biała, niewielka, z formy podobna do duszy w żelazku<sup>2</sup>. Zląkłem się nadzwyczajnie i do rana przeleżałem z głową schowaną pod kołdrę. Nazajutrz powiedzieli mi, że to blask księżycy padał na ścianę przez serce wycięte w okiennicy. Od tej jednakże pory nigdy nie zapominałem modlić się za ojca.

Miałem też brata o kilkanaście lat starszego ode mnie. Przypominam go sobie jak przez mgłę, ponieważ widziałem go zaledwie parę razy w życiu. Wiem, że nosił czarny mundur ze złotymi guzikami i szafirowym kołnierzem i że sposobił się na doktora.

Nieraz, zdjęty ciekawością, wychodziłem na strych, ażeby przez najwyższy dymnik zobaczyć stolicę, gdzie uczył się brat, a przynajmniej miasto, gdzie mama jeździła po kilka razy na rok. Nieraz śledziłem pocztową bryczkę, szybko jadącą w tamtą stronę. Bryczka i wiszący nad nią obłok kurzu ginęły w lesie, który wypełniał szczelinę między niebem i ziemią, a przede mną w dali stała tylko chata samotników, skulona i czająca się. Niekiedy

<sup>1</sup>grunta (daw.) — dziś raczej: grunty. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>dusza w żelazku — daw. żelazko składało się z dwóch części: obudowy z rączką i z podstawą zwężającą się lukowato ku przodowi oraz dopasowanego kształtem do obudowy wsadu, zwanego *duszą*, który rozgrzewano na piecu i umieszczano wewnątrz; całość była wykonana z żelaza (stąd dzisiejsza nazwa: *żelazko*). [przypis edytorski]

słoneczne światło padało w jej okienka; wówczas nie mogłem oprzeć się złudzeniu, że widzę głowę dużego kota, który patrzy na mnie, jakby chcąc się rzucić. Ogarniał mnie strach i kryłem się za ramę dywnika, ciesząc się, że teraz nie zobaczy mnie potwór. Wnet jednak ciekawość przemagała obawę, znowu wyglądałem i zapytywałem się w duchu — kto w chacie mieszka?... Czy to nie jest chałupka na kurzej nóżce, o której tyle słyszałem od prządek, i czy w niej nie siedzi czarownica zamieniająca ludzi w zwierzęta?...

Dzień za dniem upływał bardzo szybko. Ledwie wstał, już trzeba się było kłaść; ledwie się położył, już trzeba wstawać. Każdego prawie dnia chciałem coś zrobić, a gdy nadszedł wieczór, przypominałem sobie, że nic nie zrobiłem. Czas uciekał jak podróżni, na których niekiedy patrzyłem przez okno: mignęły konie, furman i nim poznałem, kto jedzie, już było widać tył bryczki. Mogę powiedzieć, że całe dzieciństwo spłynęło mi w jeden dzień.

Było jeszcze ciemno w pokoju, kiedy stara moja niańka weszła z brzemieniem drzew i cicho położywszy je na podłodze, zaczęła układać polana na kominku. Matka siedziała już na łóżku, szepcząc pacierz:

— „Zdrowaś panno Maryjo, łaski pełna”... A jak tam na dworze, Łukaszowa?

— Niczego — odpowiedziała niańka.

— „Pan z Tobą, błogosławionaś Ty”... A Walek już wyjechał?

— Już musi jest<sup>3</sup> za wrotami.

W okamgnieniu matka była ubraną<sup>4</sup> i zdjąwszy ze ściany pęk kluczy z jelenim rożkiem, wyszła z alkierza. Z komina padły na pokój czerwone blaski, drzewo zatrzeszczało, ode drzwi pociągał rzeźwy chłód, a za oknami świergotały roje ptaków. Spojrzałem na klęczącą przed kominem Łukaszowę<sup>5</sup>. Stara kobieta w czepku z falbanami podobną była<sup>6</sup> do sowy; zwróciła ku mnie twarz koloru drzewa i okrągłe oczy i śmiejąc się, rzekła:

— Już ci się chce zbytów!...

Udawałem, że śpię, lecz nagle ogarnęła mnie taka radość, nie wiem nawet z jakiego powodu, że zerwałem się z łóżka i jednym skokiem usiadłem na karku niańce.

— A cóż to za zgryzota z tym chłopczyskiem! — irytowała się baba, spychając mnie na podłogę. — Idź zaraz do łóżka, ty sowizdrzale, bo się zaziębisz... Antoś! mówię ci idź, pókim dobrą<sup>7</sup>, bo pani zawołam<sup>8</sup>.

Byłem znowu w łóżku. Wtedy niańka wzięła przed komin moją koszulę, aby ją wygrzać, a ja tymczasem zdjąłem nocną.

— Uuu!... ty bezwstydniku paskudny! — gniewała się — żeby też taki duży chłopiec goło chodził... Nie ma to w oczach ambicji za grosz... No, czegoś się znowu ubierasz w nocną koszulę, kiej<sup>9</sup> ci chcę włożyć dzienną?... Antoś, uszatkuj ty się!...

Potem brała moje majtki; były one zeszyte razem z kaftanikiem. A żeby ubrać się w nie, należało przez tylne wejście włożyć jedną nogę, potem drugą, a następnie wsuwać ręce w ciasne rękawy.

— Antoś! stójże spokojnie... — upominała niańka, zapinając mi na plecach cztery guziki. — Teraz se siadź, trza cię obuć. Antoś! trzymaj nogę prosto, bo ci pończochy nie włożę... O widzisz, znowu pęknięty trzewik i zerwany sznurek. Moje nieszczęście z tym chłopczyskiem... Antoś! nie kręć się, bo pani zawołam. Stójże, włożę ci sukienkę. A gdzie pasik? Patrzajcie go, pasik w łóżku!... Jak będziesz taki dokucznik, to cię złapię kiedy i zaniosę do starego za olszynę. On ci da!...

— Oj! oj! a co on mi robi? — odpowiedziałem zuchwale.

— Nie bój się, nie takim on robił, co ich pogubił do śmierci. Niech Bóg broni każdego grzesznego...

— Ten stary?

— Jużci on.

— Ten, co mieszka w chałupce?

<sup>3</sup>*musi jest* (daw.) — na pewno jest. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*była ubraną* (daw.) — dziś z M.: była ubrana. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Łukaszowę* (daw.) — dziś popr. forma B.: Łukaszową. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*podobną była* (daw.) — dziś z M.: podobna była. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*pókim dobrą* (daw.) — dziś z M.: pókim dobra. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*pani zawołam* (daw.) — dziś z B. (zam. D.): panią zawołam. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*kiej* (gw.) — kiedy, gdy; skoro. [przypis edytorski]

— Jużci tak.

— Za naszymi polami?

— A ino.

— On sam mieszka? — pytałem z ciekawionym.

— Któż by z nim mieszkał? Od takiego to i złodziej ucieka.

— Cóż on za jeden?

— A lichy go wie, chorobę! Zdrajca i tyle. Tfu! w imię Ojca i Syna... — mruczała baba, spluwając. — Ma kogo spotkać nieszczęście, lepiej niech jego spotka. Mów pacierz, dziecko, już śniadanie gotowe.

Ukląknęłam i mówiąc pacierz, spluwałam za siebie jak Łukaszowa, bo mi wciąż na myśl przychodził niedobry człowiek, z którym nawet złodzieje nie chcą mieszkać.

Poszedłem do spiżarni ucałować ręce matki, a tymczasem Łukaszowa zaniósła mi do jadalnego pokoju sitny chleb i talerz żurku, zatartego czosnkiem i zasypanego kaszą hreczaną. Zjadłem go z pośpiechem i zaraz wybiegłem na dziedziniec wystrugać pałasz z gonta. Nimem wyszukał<sup>10</sup> deseczkę, nimem wyostrzył nóż i zatamował krew ze skaleczonego palca, patrząc — a tu wlecze się pan Dobrzański.

„To nieprawda, ażeby już była jedenasta!” — pomyślałem rozgniewany i uciekłem schować się za stajnię. Lecz nim ochłonąłem z prędkiego biegu, już słyszę niankę, jak woła wniebogłosy:

— Antoś!... Antoś... pan nauczyciel przyszedł.

— Nie pójdę! — krzyknąłem, pokazując w tamtym kierunku język.

Wtem odezwała się mama:

— Antoś!... do nauki...

Boże, jaki byłem zły w tej chwili! No, ale co robić? Wyszedłem spoza stajni i wlokłem się do domu, pragnąc, ażeby mi się droga wyciągnęła jak stąd do stolicy. I dziwna rzecz, droga istotnie trochę się wydłużyła.

Zajrzałem przez okno do pokoju jadalnego, myśląc, iż może stało się coś takiego, że pan Dobrzański zniknął. Gdzie tam. Siedzi przy stole jak straszdydło, w swoim surducie, z wysoką czupryną, z kołnierzykami do skroni, z szyją długą jak biczysko, okręcone w czarną chustkę. Już wydobywa mosiężne okulary i zaciska je na nosie. Z prawej strony na stole czerwona chustka, z lewej — brzozowa tabakierka z rzemykiem... Boże, że też nie ma sposobu na takiego człowieka!... Przychodzi rano i po południu jak zmora, a ja nic zrobić nie mogę przez niego.

Wszedłem do pokoju i niedbale pocałowałem w rękę pana Dobrzańskiego, zacząłem wyciągać z szuflady książki i kajety. Szło to bardzo powoli, lecz nareszcie — skończyło się. Usiadłem do lekcji.

Dziś już nie wyobrażam sobie, jakim sposobem wytrzymałem dwie godziny strasznej męki, nazywanej się lekcją. Byłem jak ptak przywiązany nitką za nogę. Ilem ja razy chciał zerwać się, wyskoczyć za okno i uciekać, gdzie oczy poniosą!... Kręciłem się, jakbym siedział na szczotce do czesania lnu, a niekiedy z rozpaczą tak machałem nogami, że uderzałem w dno stołu. Wtedy siwy surdut pana Dobrzańskiego, a później jego głowa, osadzona na wysokiej szyi, zwracały się w moją stronę. Czerwieniłem się i cichłem, czując nad sobą okrągłe okulary i niebieskie oczy, patrzące przez wierzch szkieł — i już byłem od świętej pamięci spokojny, kiedy pan Dobrzański zaczynał:

— A to co za hałas? Nie wiesz, że jesteś na lekcji i powinieś zachowywać się jak w kościele? Mówiłem ci to już nieraz...

Potem brał tabakierkę z brzozowej kory, strzelał w nią palcami, ciągnął za rzemyk, zdejmował wieko, zażywał tabakę i znowu strzeliwszy z palców, kończył:

— Ośle jakiś!...

Zdaje mi się, że największą dla mnie męką stanowiły długie przerwy w upomnieniach pana Dobrzańskiego. Z góry wiedziałem, co powie, dziesięć razy powtórzyłem sobie to samo w myśli, a on — dopiero zaczynał, przerywał i znowu mówił dalej. Ciągnęło się to bez końca.

Nareszcie pan Dobrzański brał długi kajet, liniował go kantówką i w pierwszym wierszu z góry wypisywał mi jako wzór do kaligrafii:

<sup>10</sup>nimem wyszukał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: nim wyszukałem. [przypis edytorski]

„Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...”.

Temperował pióro, układał mi ręce i kajet na stole i przysuwał kałamarz.

Po czym obowiązany byłem ten sam wiersz przepisać sześć razy, głośno go powtarzając. Pan Dobrzański drzemał sobie teraz w fotelu, a ja śpiewającym głosem mówiłem:

„...Ojczyzno moja, ty jesteś...”.

— „Jak zdrowie!” — wrzasnąłem głośno.

Pan Dobrzański ocknął się.

— Dziękuję! — odparł poważnie. Zdawało mu się, że kichnął, więc utarł nos w czerwonej chustkę i znowu zażył tabaki.

Powtarzało się to prawie co dzień i stanowiło dla mnie jedyną rozrywkę przy lekcjach, tym bardziej, iż kaligrafia wypadła zawsze na końcu.

Zaraz po nauce jedliśmy razem obiad. Niekiedy gospodyni spóźniała się, więc po kaligrafii następowało jeszcze — powtarzanie na wrywki.

— Kto cię stworzył? — pytał pan Dobrzański.

— Bóg Ojciec.

— Do... brze. A ile jest części świata?

— Siedem: poniedziałek, wtorek...

— Źle, ośle!... Pytam o części świata.

— Pięć! pięć!... Europa, Azja, Afryka, Ameryka, Oceania...

— Do... brze. A sześć razy dziewięć?...

— Sześć razy siedem... sześć razy osiem... sześć razy dziewięć — pięćdziesiąt cztery.

— Do... brze. A kogo najbardziej powinienes kochać na tym świecie?

— Boga, ojczyznę, mamę i brata, pana nauczyciela, a potem wszystkich ludzi.

— Do... brze — odparł pan Dobrzański.

Chcąc uwolnić się od dalszych badań na wrywki, raz zapytałem go:

— A Łukaszowę trzeba kochać?

— Mo... zna — odparł pan Dobrzański po namyśle.

— A Walka?

Nauczyciel spojrział przez wierzch okularów.

— Sam przecie mówiłeś, ośle jakiś, że trzeba kochać wszystkich ludzi... Wszystkich.

Zwiesił głowę na piersi i po chwili rzekł głucho:

— Wszystkich... wyjąwszy tych, co nas zdradzili.

— A kto nas zdradził?

Pan Dobrzański jakby zacerwienił się, wziął do ręki tabakierkę, lecz nagle postawił ją i odparł:

— Poznasz ich, gdy podrośniesz.

Z piersi jego wymknęło się westchnienie.

Musiła to być rzecz straszna, której mi nie wyjaśnił: zresztą, choć nic nie wiedziałem, czułem głęboki smutek na samą myśl o człowieku, którego nikt nie powinien kochać. Biedak ten mieszkał niedaleko nas, jego domek widywałem co dzień, lecz mimo to gdybym go kiedy spotkał na drodze, nie mógłbym zdjąć przed nim czapki i powiedzieć: „Dzień dobry panu, a dlaczego pan tak dawno nie był u nas?”...

Jego u nas nikt nie wyglądał.

Gdy zegar wykukał pierwszą, wchodziła niania do naszego pokoju ze stosem talerzy. Książki i kajety w okamgnieniu znikaly ze stołu, a ich miejsce zajmował czerwony obrus w białe kwiaty i trzy nakrycia. Po chwili ukazała się mama, a za nią waza barszczu i salaterka grochu.

Pan Dobrzański przywitał się z matką, a gdy zupa już była rozlaną<sup>11</sup>, powstał i odmówił modlitwę: „Pobłogosław, Boże, nas i te dary, które z Twojej świętej szcudroblności pożywać mamy. Amen”.

Potem siadaliśmy i jedli, milcząc. Nim wnieśli drugą potrawę, mama zapytała:

— Cóż, panie Dobrzański, jak się dziś Antos sprawował?

Nauczyciel pokiwał głową, popatrzył na mnie apatycznym wzrokiem i odparł:

— Tak... jak to on.

— A co słyhać na świecie?

<sup>11</sup>była rozlaną (daw.) — dziś z M.: była rozlana. [przypis edytorski]

Pan Dobrzański poprawił stojącego czuba włosów i rzekł nieco ożywiony:  
— Mówią na poczcie, że Francuz zaczyna się ruszać.  
— Czegóż on chce?  
— Jak to czego, mościa dobrodziejko?... — zawołał stary głosem pełnym energii. —  
Cóż to pani nie wie? Wojny chce...  
— A nam co z tego?  
Pan Dobrzański rzucił się na fotelu.  
— Och, nie gadałabyś pani takich rzeczy przy dziecku! Co nam z tego? Nam wszystko  
z tego, i basta...  
— Zobaczmy, zobaczmy — odpowiedziała mama.  
— Rozumie się, zobaczmy!... — powtórzył stary z uniesieniem. — Tu niedługo  
ludzie przestaną w Boga wierzyć! — dodał.  
Oczy mu błyszczały, a na zwiędłą twarz wystąpił silny rumieniec. Wziął w rękę nóż  
i począł dzwonić w talerz.  
— Dałby Bóg — rzekła znowu matka — żeby się wróciły dobre czasy.  
— Niech no by nie dał! — mruknął starzec, zaciskając nóż w pięści.  
Matka spojrzała mu ostro w oczy:  
— Co pan mówi, panie Dobrzański?...  
Nauczyciel z gniewem ujął się ręką pod boki:  
— A pani co mówi?...  
Może byliby się pokłócili. Szczęściem, niańka wniosła duży półmisek pachnącej kieł-  
basy z sosem i drugi — tartych kartofli ze słoniną.  
Nastała cisza i przetrwała do końca obiadu, na zaokrąglenie którego mama i pan  
Dobrzański wypili po szklance piwa.  
Niańka sprzątnęła półmiski. Powstaliśmy z krzesel, a nauczyciel mówił:  
— „Dziękujemy Ci, Boże, za posiłek nam udzielony; bądź błogosławion w darach  
i we wszystkich dziełach Twoich. Amen!”  
Szybko pocałowałem w rękę mamę i pana Dobrzańskiego i wybiegłem na podwórko.  
W chwilę potem, ukryty za płotem, widziałem, jak nauczyciel w wysokiej rogatej czapce  
dreptał ku swemu domowi, opierając się na zakrzywionym kijku.  
W dni świąteczne, osobliwie podczas długich wieczorów, było u nas bardzo wesoło.  
Przychodził ksiądz proboszcz z siostrą, niziutki i okrągły pan burmistrz z żoną i trzema  
córkami, staruszka pani majorowa z dwoma wnuczkami, pan pocztmajster, kasjer, se-  
kretarz magistratu i sekretarz z poczty. Starsi siadali do kart, młodzi grali w loteryjkę,  
w cenzurowanego, w ślepą babkę, a wszystko z ogromnym krzykiem. Znudzili się tym  
jednak bardzo prędko, więc najładniejsza panna burmistrzówna, poprosiła pana kasjera,  
ażeby im zagrał do tańca.  
— Dajcież mi państwo spokój — bronił się kasjer — nie wziąłem nawet gitary z do-  
mu.  
— To pošlemy po nią! — wołały panny.  
— Gitara jest już w kuchni! — odezwał się nieproszony.  
Wszyscy w śmiech, pan kasjer chciał mnie pociągnąć za ucho, ale dwie panny schwy-  
ciły go za ręce, a tymczasem pan sekretarz wybiegł z pokoju i za chwilę przyniósł gitarę  
— w zielonej koszulce.  
Kasjer wciąż się bronił.  
— Moi państwo — mówił — na gitarze nie gra się do tańca, to za poważny instru-  
ment...  
Ale swoją drogą już próbował dźwięku strun i kręcił kołeczki.  
Było pięć panien, a nas, kawalerów, tylko trzech; więc choć sprowadziliśmy do po-  
mocy jeszcze pana pocztmajstra, niemało każdy miał roboty. Czasem moja matka, zna-  
lszy chwilę wolną od zajęcia przy kolacji, wyręczała pana kasjera w graniu, a on tańczył.  
Trwało to jednak niedługo, ponieważ panny mówiły, że mama grywa same stare polki  
i walce.  
Na kolacją<sup>12</sup> podawano herbatę, zrazy z kaszą, czasami gęś pieczoną. Ogólnie jed-  
nak zadowolenie osiągało szczytu wówczas, gdy wnieśli krupnik. Była to gorąca wódka

<sup>12</sup>na kolacją (daw.) — dziś: na kolację. [przypis edytorski]

z miodem, zaprawiona goździkami i cynamonem. Dostawałem i ja tego specjału pół kieliszka, a gdym wypił, robił się ze mnie inny człowiek. Raz zdawało mi się, że już jestem zupełnie dorosły. Zacząłem mówić *ty* panu sekretarzowi magistratu, później oświadczyłem się po cichu starszej wnuczce pani majorowej, a nareszcie — zacząłem chodzić na rękach tak ładnie, że zarumieniony pan burmistrz powiedział, iż jestem chłopiec nadzwyczajnych zdolności.

— To będzie wielki człowiek!... — wołał, uderzając ręką w stół.

Alem reszty już nie dosłyszał, bo mama w tej chwili kazała mi iść spać.

Była to dla mnie wielka zgryzota, gdyż po kolacji, na zakończenie wieczoru, pan kasjer śpiewał przy gitarze.

Pamiętam go jak dziś. Był to człowiek dość młody. Miał trochę niższe kołnierzyki aniżeli pan Dobrzański, ale za to wyższą czuprynę. Chodził w ciemnozielonym surducie z krótkim stanem, w niebieskich spodniach ze strzemiączkami i z fartuszkami i w aksamitnej kamizelce w pąsowe kwiaty. Na szyi nie nosił chustki, tylko halsztuch.

Stawiano mu krzesło na środku pokoju. Siadłszy na nim, zakładał nogę na nogę, dostrajał gitarę, odchrząknął i zaczynał:

Idę na szczyty Kaukazu,  
Tak wyrok boski zażądał;  
Może tam zginę od razu,  
Już cię nie będę oglądał.

— Za pozwoleniem! — przerwał pan burmistrz. — Wyjrzyj no, panie sekretarzu, czy kto nie podsłuchuje pod oknem.

Pan sekretarz zapewnił, że nikt nie podsłuchuje, a pan kasjer po przygrywce śpiewał dalej:

Może pójde do niewoli,  
Między dzikie ludożerce, —  
Któż mnie pocieszy w niedoli,  
Jeśli nie ty, lube serce?...

W tej chwili średnia panna burmistrzówna trąciła starszą.

— To do ciebie, Jadziu — szepnęła.

— Moja Meci! — zgromiła ją siostra, rumieniąc się.

Gdy pan kasjer skończył jedną pieśń — proszono go o drugą. Następowala całkiem nowa przygrywka i wiersz:

Wiatrem i śniegiem pędzony,  
Gdzie lecisz, ptaszyno mały?  
Może zabłądzisz w te strony,  
Które mnie dziecięciem znały?

Ach, powiedz mojej rodzinie,  
Czy ich to nieszczęście smuci?  
Uważaj, czy łza popłynie,  
Gdy szepniesz — syn już nie wróci!...

— „Gdy szepniesz — syn już nie wróci”... — powtórzyła pani majorowa drżącym głosem. — Ślicznie! ślicznie! — wołała starszka.

Po tej pieśni panny zgiełkliwie domagały się, ażeby śpiewał: „Lecą liście z drzewa...”.

Pan kasjer uderzył kilka nowych tonów na gitarze, znowu odchrząknął i śpiewał nieco niższym głosem:

Lecą liście z drzewa, (*ciszey*) co tam rosły wolne,  
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne:

Nie było, nie było, (*ciszey*) Matko, szczęścia w tobie,  
Wszystko się zmieniło, a twe dzieci w grobie.

W pokoju było cicho jak w kościele, tylko pani majorowa szlochała. Nagle pan burmistrz schwycił się za głowę.

— Za pozwoleniem! wyjrzyj no, panie sekretarzu, na dziedziniec, czy czasem *ten...* nie podsłuchuje pod oknem...

Sekretarz wybiegł, a obecni coś szeptali między sobą. Na dziedzińcu nie było nikogo.

— No — rzekł, skończywszy, pan kasjer — teraz zaśpiewam państwu coś bardzo zakazanego.

— Bój się Boga, człowieku — przerwał mu pan burmistrz — nie gub zacnej kobiety, która nas tak gościnnie przyjmuje... — I wskazał na swoją matkę.

Matka niedbale skinęła ręką.

— Ach! — odparła — niech robią, co chcą. Tyle naszego, że czasem piosenki wysłuchamy.

— Dobrze, że pani nic nie zrobią — mówił burmistrz — ale tu jest ksiądz proboszcz, urzędnik stanu cywilnego...

— Ja się tylko Boga boję — mruknął ksiądz.

— No, więc — ja jestem! burmistrz... a jeżeli mi się stanie co złego, kto będzie opiekować się moimi dziećmi?...

— Nie ma strachu — rzekł proboszcz. — Nigdy zresztą nie widziałem, ażeby *ten* tam... podsłuchiwał pod oknami.

— Nie potrzebuje chodzić pod oknami, bo jego dom stąd o trzy kroki — upierał się zmartwiony burmistrz.

— O wiorstę i dwieście sążni od poczty — wtrącił pocztmajster.

— Więc przynajmniej nie drzyj się pan, śpiewaj cicho — zwrócił się burmistrz do kasjera.

— Cóż znowu tatko mówi! — oburzyła się najstarsza córka. — Jak można taki piękny śpiew nazywać darcieciem się?...

— Już to pan prezydent kroci na naczelnika powiatu — wtrącił ironicznie pan kasjer. — Nie ma strachu, nie ma! Jeżeli kto, to ja powinien bym najpierw paść ofiarą...

— I padniesz, padniesz!... — odparł burmistrz. — *Ta* największy w mieście rewolucjonista — szepnął do księdza.

Pan kasjer, zadowolony publicznym uznaniem jego rewolucyjności, wyprężył nogi tak, że wydawały się jeszcze cieńsze niż zwykle. Utopił wzrok w starszej pannie burmistrzównie i śpiewał półgłosem:

Już w gruzach leżą Maurów posady,  
Naród ich dźwiga żelaza;  
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,  
Ale w Grenadzie zaraza.  
Broni się jeszcze z wież Alpuhary  
Almanzor z garstką rycerzy<sup>13</sup>...

— Prześliczne! — zawołały panny chórem, patrząc na wywrócone oczy pana kasjera.

— Co to jest? — spytał niespokojnie pan burmistrz.

— Mickiewicz! — odpowiedział pan kasjer.

— Mic-kie-wicz?... Przepraszam państwa, ale — wychodzę! Ja — mówił pan burmistrz, bijąc się w piersi — ja zbyt wiele chcę zrobić dla kraju, ażebym miał ginąć za wiersze.

— Cóż pan widzisz złego w tej piosence? — zapytał niecierpliwie proboszcz.

— Co?... jegomość tak dobrze wie o tym jak ja! — odparł pan burmistrz. — A nuta?... Nuta, panie, jest taka, że gdyby mi ją zagrała kiedy kapela wojskowa, pierwszy, panie, wyszedłbym na rynek w czerwonej konfederatce. Tak! niechby mnie zastrzelili, porąbali, roztratowali...

<sup>13</sup>Już w gruzach leżą Maurów posady (...) — fragment z *Konrada Wallenroda* Mickiewicza. [przypis edytorski]



— Czyś zwariował, Franiu! — krzyknęła pani burmistrzowa.

— Taki jestem! — wołał zaperzony prezydent. — W razie, czego Boże nie dopuść, wojny, wszystkie tutejsze zuchy wleżą w ką, ale ja pokażę, co umiem.

— Franiu! tobie się w głowie przewraca — mitygowała go żona.

— Jestem zupełnie przytomny — rzucał się pan burmistrz — ale chcę, żeby tu wszyscy wiedzieli, do czego dojdzie, jeżeli mnie podrażnicie! Jestem jak bomba, co dopóki leży spokojnie, można ją nogą kopać, ale rzuć iskrę... Chryste, ratuj!...

Mówiąc tak podniesionym głosem, pan burmistrz kręcił się jak bąk między krzesłami. O ile sobie jednak przypominam, jego niebezpieczne męstwo nie robiło wrażenia. Ksiądz proboszcz machał koło ucha ręką, a pan kasjer niedbale brząkał na gitarze, w takt wykrzykników pana burmistrza. Tylko moja matka życzliwie kiwała głową, a splakana pani majorowa wśród powodzi jego słów zdawała się zasypiać.

— No, moi państwo — odezwał się pan pocztmajster — czas do domu. Już dziesiąta.

— Czy być może? — zdziwił się pan kasjer, któremu, ile razy śpiewał, czas wydawał się za krótki.

Jakby w odpowiedzi, zegar wykukał dziesiątą. Panie były przestraszone tak późną godziną i wszyscy zabrali się do wyjścia.

Gdy niańka, włożywszy mnie do łóżka, zagasila świece, zobaczyłem po raz drugi, jakby na jawie, całe wieczorne zebranie: ruchliwą figurkę pana burmistrza i żółte wstążki u czepka pani majorowej, i pana pocztmajstra, i pana sekretarza, i wszystkie panny. Goście kręcili się gorączkowo, rozprawiali, śpiewali, pan burmistrz straszył ich swoją odwagą, pan kasjer grał na gitarze, zupełnie jak w rzeczywistości. Ta tylko była różnica, iż między zgromadzonymi widziałem jakiś cień, niby owego człowieka, którego na próżno pan sekretarz szukał za oknem. Chciałem go wskazać matce, ale nie mogłem podnieść ręki. Cień tymczasem snuł się po pokoju, cichy, nieujęty i dla nikogo oprócz mnie niewidzialny.

Potem wszystko znikło, a gdym otworzył oczy, zobaczyłem przed kominkiem Łukaszową, która śmiejąc się do mnie bezzębnymi ustami, mówiła:

— Oho! już ci się chce zbytków...

To był ranek. Anim się spostrzegł, żem już przespał noc po zabawie.

\*

W połowie marca przypadaly moje urodziny, od których zacząłem ósmy rok. Na kilka dni przedtem pan Stachurski, szewc, brał mi miarę na pierwsze buty. I właśnie kiedym zdjął trzewik dla poddania się tej operacji, zajechała przed nasz dom pocztowa bryczka i wysiadł z niej jakiś młody człowiek z listem do mamy od brata.

Nazwiska jego nie wiem do dziś dnia, ale na imię mu było Leon. Był to chłopiec może dwudziestoletni, śliczny jak obraz, wesoły i nadzwyczaj lgnący do ludzi. Mamę od razu pocałował w obie ręce i tyle nagadał jej wiadomości o bracie, że go prosiła, ażeby u nas zamieszkał na kilka dni. Jednocześnie, nim pan Stachurski zdążył mi wziąć miarę na buty, młody człowiek zaprzyjaźnił się z nim tak serdecznie, że nawet obiecał go odwiedzić w warsztacie. Potem, sprowadził się do pokoiku na górę i w ciągu kilku minut chyba oczarował Łukaszowę<sup>14</sup>, która za nim wniosła walizkę, bo niańka całe popołudnie mówiła tylko o nim. Panu Dobrzańskiemu, który przyszedł na lekcję<sup>15</sup>, dał jakieś niesłychane cygario, mnie na poczekaniu wystrugał wiatrak, a mamie powiedział sekret gotowania w domu piwa.

Po obiedzie wyszedł na miasteczko i wrócił późno wieczór. Toż samo robił przez cały czas swego pobytu. Widywaliśmy go rzadko i krótko, lecz mimo to tyle wszystkim robił usług, żeśmy przepadali za nim. Tylko mama miała mu trochę za złe, że wdaje się za pan brat z panem Stachurskim, szewcem, panem Grochowskim, stolarzem i panem Władzińskim, wędliniarzem. Ale pan Dobrzański wytłumaczył jej, że jeżeli ów młody człowiek przyjechał tu na zwiady — czy nie da się założyć w mieście sklep z korzeniami?... — to musi sobie skarbić przyjaźń nawet ludzi prostych.

<sup>14</sup>oczarował Łukaszowę (daw.) — dziś: (...) Łukaszową. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>na lekcję (daw.) — dziś: na lekcję. [przypis edytorski]

Zdziwienie mamy jednak bardziej wzrosło, gdy zeszli się do nas na wieczór goście w dzień moich urodzin; okazało się bowiem, że pan Leon zna wszystkich. Już pan burmistrz obiecał go protegować, gdyby sklep założył, a pan pocztmajster miał mu nawet wynająć parę pokojków w swoim domu. Z sekretarzem magistratu i sekretarzem poczty pan Leon *tykał się*<sup>16</sup>, obie wnuczki pani majorowej rumieniły się, gdy do nich mówił, a tylko z panem kasjerem jakoś krzywo patrzyli na siebie.

Tańców u nas tego dnia nie było, ale pan kasjer miał gitarę i jak zwykle śpiewał przy niej. Któraś z panien zapytała pana Leona, czy on śpiewać umie. Grzeczny młody człowiek natychmiast wziął do rąk instrument, ale zaśpiewał na tak smutną nutę, że pan burmistrz uciekł przy pierwszych słowach i już się nie pokazał, wszystkie panie popłakały się, a pan kasjer pobałdł ze złości.

Na drugi dzień rano pan Leon wyjechał, mówiąc mamie, że musi być jeszcze w innych miasteczkach, w celu wyszukania najlepszego punktu na swój sklep.

W końcu kwietnia, jakoś w sobotę, zjechał do nas pan Leon po raz drugi. Mamie przywiózł list od brata i książkę kucharską, panu Dobrzańskiemu paczkę tabaki, a mnie śliczny pałasz blaszany. Opowiadał, że pewno w tych czasach skończy interes ze sklepem, lecz że musi dokładniej rozejrzeć się w miejscowości. Potem wybiegł na miasto przywitać się ze znajomymi i wrócił do domu w nocy.

Nazajutrz, w niedzielę, poszliśmy na sumę<sup>17</sup>. Siedziałem z matką przed wielkim ołtarzem, obok państwa burmistrzów i pani majorowej, a o kilka kroków od nas stał kasjer, modląc się z książki.

Nabożeństwo już się skończyło i mieliśmy wychodzić, gdy nagle ze środka kościoła wysunęli się na przód zebranego ludu pan Stachurski, szewc, pan Grochowski, stolarz i pan Władziński, wędliniarz, a wraz z nimi ich czeladzie i chłopcy, tudzież sekretarz z poczty i sekretarz magistratu. Gdy zaś ksiądz proboszcz udzielił błogosławieństwa, pan Stachurski dał organiście jakiś znak. Zrobiło się cicho i...

...Nie pamiętam, co się stało dalej, ponieważ skutkiem tłoku i gorąca tak osłabłem, że mama wyniosła mnie z kościoła do mieszkania księdza proboszcza. Zastaliśmy tam pana kasjera, który biegał po pokojach, targając sobie włosy i przysięgając, że on temu nie winien. Prosił też mamę, ażeby w razie czego świadczyła, jako on pierwszy wybiegł z kościoła.

W domu czekał na nas pan Leon. Gdy mu mama opowiedziała o tym, co zaszło w kościele, był bardzo zdziwiony. Odparł jednak, że podobne wypadki trafiają się wszędzie, same z siebie, a potem dodał, że zaraz po obiedzie musi jechać. Pragnął bowiem wstąpić do kilku innych miasteczek, celem dokładniejszego zbadania, w którym z nich jego sklep może mieć najwięcej widoków.

Niezwykle zachowanie się pana kasjera na plebanii na jakiś czas zachwiało jego reputację, tym bardziej że niepospolity ten człowiek od owego dnia zarzucił swoją amarantową czapkę i wrócił do urzędowego fraka z żółtymi guzikami. Szczęściem, trwało to niedługo. Pan burmistrz bowiem, skombinowawszy w umyśle wiele szczegółów, zawnioskował, że wypadek w kościele był — dziełem kasjera, który jest tym niebezpieczniejszy dla ogólnego spokoju, że wybornie udaje niewiniątko. Sąd ten znalazł wiarę w miasteczku, gdyż pan kasjer zaczął znowu robić poważne miny, a panowie Stachurski, Grochowski i Władziński odzywali się o nim lekceważąco w miejscach publicznych. Było widoczne, że agitator ten, chcąc zabezpieczyć się od podejrzeń, wydał podwładnym swoim stosowną instrukcję<sup>18</sup>.

Zresztą fakt, na który sam patrzyłem, świetnie usprawiedliwił opinią<sup>19</sup> ogółu.

Pewnego dnia prosiła mama pana Dobrzańskiego, ażeby poszedł ze mną do miasteczka i kupił papieru<sup>20</sup>, paczkę piór i ołówek. Idąc tam, zauważyliśmy na rynku tłum terminatorów, Żydków i starszych mieszczan, żywo rozprawiających. Nieopodal od nich, tuż przy magistracie, stał pan kasjer.

Załatwiwszy sprawunek, mieliśmy już wracać do domu, gdy nagle rozległa się wrzawa na rynku. Wybiegłem przed sklep i zobaczyłem starego, wysokiego człowieka, który wy-

<sup>16</sup>*tykać się* — mówić sobie na ty. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*suma* — długa, uroczysta msza, odprawiana w niedzielę około południa. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*wydał (...) instrukcję* (daw.) — dziś: wydał instrukcję. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*usprawiedliwił opinią* (daw.) — dziś: usprawiedliwił opinię. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*kupić papieru* (daw.) — dziś popr.: kupić papier. [przypis edytorski]

chodził z piekarni z chlebem pod pachą. Tłum wyrostków zabiegł mu drogę i krzycząc, począł rzucać bryłami. Przez chwilę napadnięty stał bez ruchu; gdy go jednak uderzyło parę kamieni i spadła mu czapka, upuścił chleb na ziemię i począł uciekać. Widok jego białej jak mleko głowy i sztywnych ruchów bolesne zrobiło na mnie wrażenie. Przyszły mi na myśl owe męczące sny, w których wyobrażałem sobie, że mnie także ktoś goni i że nie mogę uciekać.

W tej chwili usłyszałem za sobą głuchy okrzyk. To pan Dobrzański wyszedł ze sklepu i żółty, z szeroko otwartymi oczyma, patrzył w stronę ściganego.

Krzyk ucichnął, zdyszany tłum wrócił na rynek, a pan Dobrzański jeszcze stał, patrząc przed siebie martwymi oczyma. Teraz spostrzegł go pan kasjer i począł iść ku nam. Z jego twarzy biło takie zadowolenie, że na ten widok zapomniałem o skrzywdzonym człowieku.

— Dzień dobry, panie Dobrzański!... Udało nam się, nieprawda? — rzekł cicho pan kasjer.

Nauczyciel milczał.

— To ja zrobiłem — szeptał kasjer, stukając się palcem w wykrochmaloną koszulę — ja!... Tak należy karać zdrajców.

— To pan zrobiłeś?... — odezwał się głucho mój nauczyciel.

— Ja!... Będą teraz wiedzieli — dodał — kto tu znaczy...

Stary podniósł z ziemi papier i laskę i zabierając się do powrotu, rzekł szczególnym tonem:

— O, toś pan dużo zwojował!...

A potem szepnął do siebie:

— Nie może być inaczej.

Odprowadziwszy mnie przed nasz dom, pan Dobrzański oddał mi papier i wrócił do siebie. Gdy opowiedział matce, co się stało, pokiwała smutnie głową i rzekła:

— Straszne to nieszczęście; niech Bóg wszystkich od niego zachowa!...

Dopiero Łukaszowa wyjaśniła mi, że to tak wyszczuto złego człowieka, który mieszka w chacie za naszymi polami.

Zauważyłem, że od tej pory mój nauczyciel zrobił się posępniejszy i bardziej roztrągniony przy lekcjach i że często z goryczą odzywał się do matki o panu kasjerze. Raz nawet, gdy wobec pana Dobrzańskiego pan burmistrz wychwalał kasjera, nazywając go polityczną głową i niebezpiecznym agitatorom, stary nauczyciel, uderzywszy pięścią w stół, krzyknął z gniewem:

— A ja panu mówię, że to głupiec!...

— Kto? — zapytał zdumiony pan burmistrz.

— Ten pański kasjer.

— Ten wielki patriota?

— Wielki cymbał!

— Poruszył całe miasto!... — mówił zaperzony pan burmistrz.

— Dyrektor kocich muzyk — odparł pan Dobrzański.

— On nam wszystkim może narobić nieszczęścia — ciągnął pan burmistrz.

— Powiedz mu pan prezydent, niech nie robi, bo inaczej kijem go wygrzmocę, ja, stary! — rzekł, trzęsąc się z gniewu, nauczyciel.

Pan burmistrz oniemiał i pilnie patrzył na moją matkę, czy ona nie zechce ująć się za kasjerem. Ale matka kiwała głową, zapewne z żalu nad zaślepieniem nauczyciela, który nie umiał ocenić nadzwyczajnego patrioty.

Anim spostrzegł, jak w duszy zarysował mi się niejasny obraz człowieka z chaty za polami. Niechętne wzmianki Łukaszowej, obawy pana burmistrza, czy kto nie podsłuchuje pod oknem, gonitwa na rynku, a nade wszystko dziwne zachowanie się pana Dobrzańskiego i milczenie mojej matki, wszystko to nasuwało mi tysiące pytań. Kim jest i co robi ten człowiek, z którym postępują jak z niebezpiecznym zwierzęciem? Jeżeli wolno chłopcom rzucać za nim kamieniami, więc musi to być zły człowiek, a więc dlaczego starsi nie oddali go do więzienia?

Im częściej myślałem o nim, tym silniej ważyły się we mnie dwa uczucia — strachu i ciekawości, sprawiając mi wielką mękę. Toteż ile razy miałem trochę wolnego czasu, przypasawszy swój pałasz, wykradałem się w kierunku odludnej chaty. Co prawda z początku nawet nie marzyłem, aby dojść do niej zbyt blisko; niemniej coś mnie ciągnęło

w tamtą stronę. Przebiegłem płoty naszego ogrodu, docierałem do olszyny, później przechodziłem bagno, wreszcie błędziłem już po krzakach przylegających do chaty. Niekiedy spostrzegłszy, jak blisko jestem złego człowieka, a jak daleko od domu, drętwiałem z przerażenia — i uciekałem w stronę miasteczka, do ludzi. Stopniowo jednak oswoiłem się z nową miejscowością i czułem coraz większą ciekawość obejrzenia chaty.

Z każdym dniem poznawałem ją lepiej. Stała ona w dzikiej okolicy, o paręset kroków od bocznej drogi, kręto biegnącej przez pola. Otaczały ją krzaki gęste i wysokie, pełne ptaków i gniazd, tudzież głębokie i zarośnięte wąwozy, o ścianach stromych i poszarpanych. Częstokroć nad głową zaszumiało mi stado kuropatw albo spod nóg wyrwał się zając. W wilgotnych zakłęśnościach spotykałem węże, a w ścianach wąwozów ciemne otwory jam lisich. Krążąc w pewnej odległości od chaty, obszedłem ją naokoło. W jednym miejscu uderzył mnie cichy, lecz ciągły szelest; z bijącym sercem podkradłem się bliżej i ujrzałem strumień wody, prędko biegnący po łożysku z wapiennych kamyków.

Bąłem się, ale postąpił jeszcze kilkadziesiąt kroków. Ściany wąwozu zniżały się w tym miejscu, wreszcie znikły. Dotarłem do małego zagłębienia, skąd wypływał strumień, kipiący jak woda w garnku. Rosła tu dziewanna wyższa ode mnie. Ścisnąłem pałasz mocno, postanowiwszy uciekać za najmniejszym szmerem — i zanurzyłem się między bądyle. Po małej chwili dziewanna zmaląła; podniosłem głowę i zobaczyłem chatę. Stała na opoczystym<sup>21</sup> wzgórk, obłana ciepłymi potokami słońca; przed nią leżało mnóstwo zaczętych i dokończonych koszów, między którymi przechadzał się kulawy bocian. Ze ścian od dawna opadło wapno, szczeliny między deskami były zamazane kruszącą się gliną, okienka w niektórych miejscach, zamiast szyb, zasłonięte były pęcherzem.

Na szerniałych ze starości drzwiach bielił się jakiś wyraz, napisany dużymi literami i nieco zatarty. Wpatrzyłem się uważniej i przeczytałem:

*Szpieg.*

W tej chwili bocian, spostrzegłszy mnie, opuścił ku ziemi skrzydła i gniewnie zaszczał. Rzuciłem się bez pamięci w tył i po kilkominutowym biegu znalazłem się wśród dobrze znanych krzaków. Niebawem wróciłem do domu, nie chwając się przed nikim, gdzieś był i com widział. Zaprzestałem nawet chodzić w tamtą stronę.

\*

Upłynęło półtora roku, i nadeszła zima, krótsza niż zwykle, lecz ciężka. W listopadzie chwyciły tęgie mrozy, a w grudniu spadły tak duże śniegi, że dokoła naszego domu utworzył się biały wał. Walek niekiedy do południa pracował nad rozkopywaniem drogi.

Pewnego dnia zerwała się straszna zawiejka. Pan Dobrzański ani z rana, ani po południu nie był na lekcji i od nas nikt nie chodził do miasteczka. Wicher jęczał we wszystkich kątach domu, miarki śnieg zasypywał ogień w kuchni, powietrze było pełne białych tumanów. Około czwartej spadła na ziemię ciemność, wyło jeszcze żałośniej, śnieg bił w okna jeszcze gwałtowniej. Czasami wszystko milkło, ginęły tumany w powietrzu, rozsypywały się obłoki na niebie, a wtedy można było widzieć, że śnieg zasypał już płoty.

W jednej z takich chwil wyglądałem przez okna wychodzące na ulicę i nagle — zobaczyłem za szybą jakiś przedmiot. Wyteżyłem wzrok. Na ławce, tuż pod oknem, siedział człowiek ze zwieszoną głową. Był ubielony śniegiem, który na wierzchu czapki i na ramionach skupił się w małe stożki.

Serce ścisnęło mi się na ten widok. Pobiegłem do kuchni i dałem znać mamie, że pod naszą ścianą śnieg zasypuje podróżnego. Matka z początku nie wierzyła mi, lecz wyrzawszy oknem, wysłała czym prędzej Walka, ażeby sprowadził biedaka do kuchni.

— Może on już zmarł?... — pytałem niespokojnie, trzymając się fałdów matczynej sukni.

Po kilku minutach w sieni rozległy się stapania i szelest, jakby się kto otrzepywał. Do kuchni wszedł Walek z podróżnym.

Był to ogromny człowiek, w krótkim, łatanym kożusku i wysokich butach. Gdy zdjął czapkę, ukazały się włosy białe jak mleko. Z wolna postąpił na środek kuchni i stał, milcząc.

<sup>21</sup>opoczysty — skalisty; por. *opoka*: skała. [przypis edytorski]

Gospodyni rzuciła na komin luczywo. Płomień buchnął silniej i oświetlił twarz podróżnego. W tej chwili matka moja cofnęła się ku drzwiom jadalnego pokoju, a stara Łukaszowa, pilniej przypatrując się gościowi, mruknęła z gniewem:

— Brakowało go tu... Jeszcze na nas nieszczęście sprowadzi, przeklęty!...

Teraz i ja go poznałem. To był on, postrach i przedmiot nienawiści całego miasteczka, człowiek z samotnej chaty.

Przybysz spostrzegł, co się koło niego dzieje, i odezwał się cichym głosem do matki:

— Niech się pani nie gniewa, żem usiadł pod domem. Ale burza tak mnie zmęczyła, żem nie mógł iść dalej. Skostniałem z zimna...

Było coś żalosego w usprawiedliwianiu się człowieka, że w podobnym czasie usiadł pod domem.

Matka patrzyła, jakby rozmyślając. Nagle rzekła do kucharki głosem dziwnie twarzym:

— Niech Katarzyna da panu gorącego mleka.

Gość wciąż stał i patrzył na matkę niebieskimi, łagodnymi oczyma.

— Pręcej! — z gniewem powtórzyła matka, widząc, że nie spełniają jej rozkazu.

Mleko stało już ugotowane na kominie. Kucharka zdjęła z półki stary garneczek i z taką niechęcią naląła, że wychlapało się na podłogę.

— Podajcie tam, Łukaszowa — rzekła do niańki.

— Bo ja chcę! — odparła niańka. — Niech poda Walek...

— Bo ja głupi! — mruknął parobek.

— Podaj, Walek! — odezwała się moja mama.

— Taki to z ciebie i chłop, co się boisz — wstydziła go niańka.

Chłop powoli wziął garneczek i postawiwszy go na ławce, rzekł do przybyłego:

— Namcie ta...

Potem odszedł w najdalszy kąt kuchni i zachmurzony usiadł na pieńku.

Śnieg wciąż bił w okna, a na kominie, pod wpływem zawieci, chwilami przygasał ogień.

Stary człowiek zatoczył się ku ławce i począł pić gorące mleko. Matka ze mną cofnęła się do jadalnego pokoju, a za nami Łukaszowa, szepcząc:

— Cóż on tu chce nocować?... Przecie chyba pani nie wypędzi dla niego nawet psa z budy na taki czas, a ludzie pod jednym dachem spać z nim nie będą.

— Taki człowiek — dodała po pauzie niańka — na kogo spojrzysz, to mu nieszczęście sprowadzi. Nawet drzewo usycha, kiedy on dotknie go ręką. Bóg go przeklął, a ludzie rady na to nie znajdują nijakiej...

Matka skrzyżowawszy ręce, chodziła po pokoju wzburzona. Z kuchni dolatywało trzeszczenie palącego się drzewa i mlaskanie ust starego człowieka, który dmuchał w garneczek i chciwie pił.

Wtem z ulicy do pokoju wpadł jakiś blask, i jednocześnie usłyszeliśmy głośnie wołanie:

— Ho! ho! bywajcie!...

— To mój chłopiec — odezwał się stary człowiek w kuchni.

Walek wybiegł na dziedziniec i po krótkiej rozmowie sprowadził nowego gościa. Przybysz trzymał w ręku zapaloną latarnię i od stóp do głów był zaśniewany. Gdy się otrząsnął nieludzkim ruchem, spostrzegłem, że miał włosy podobne do kudłów, które mu zasłaniały czoło i część twarzy, i że za odzież służyły mu straszne lachmany. Nigdy nie widziałem takiego zbioru szmat, owiązanych powrozami w pasie i na nogach.

— Gadałem, że was zasypało — rzekł obdarty chłopiec do starca i zaśmiał się grubym głosem.

— Nie znasz ty go, Walek, co on za jeden?... — szepnęła kucharka, ze wstrętem patrząc na nowego gościa.

— Co nie mam znać? Wszyscy wiedzą, że łapał psy w mieście — odparł półgłosem nasz parobek.

Stary człowiek począł w miejscu dreptać nogami, widocznie gotując się do odejścia. Potem, złożony ręce na piersiach, schylił głowę i rzekł:

— Pokornie dziękuję...

Przez chwilę czekał na odpowiedź, potem drugi raz schylił głowę i dodał stłumionym głosem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Nikt nie odpowiedział.

Stojąc za progiem, jeszcze raz obejrzał się i — zniknął w ciemnej sieni, a za nim jego chłopiec.

W kuchni było tak cicho, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech, ażeby odchodzący nie usłyszał ludzkiego głosu.

Gdy blask latarni wpadł przez okno pokoju, matka weszła do kuchni i wskazując na garnceczek, z którego pił stary gość, rzekła do Walka:

— Wyrzuć to!

Chłop ostrożnie wyniósł garnceczek na podwórze i cisnął nim tak, że skorupy zadzwięczały aż pod oborą.

Na ulicy jeszcze majaczyło, chwając się, rudawe światło latarni. Mnie płacz ścisnął za gardło, a wicher na dworze tak jęczał, tak zawodził, tak dobijał się do naszych okien, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz — nie mogąc — rozlewał się w żalonym wyciu. „Co się to dzieje, Boże!...” — myślałem, nie mogąc opędzić się przed widmem starca, którego łagodne oczy patrzyły na mnie z wyrzutem. Zdawało mi się, że widzę go, jak wsunawszy ręce w rękawy, przez pole, na którym znikła droga, idzie niepewnym krokiem, wygnany na śnieżycę. A ten jego towarzysz w łachmanach!...

W kilka godzin później, gdy zmówił pacierz i *Zdrowaś Maria* na intencją<sup>22</sup> podróży, których zaskoczyła burza, zapytałem matki:

— Prawda, mamó, że jeżeli podróży spotka zawieja, a oni modlą się, wtedy Bóg zsyła anioła, który im pokazuje drogę?

— Prawda, moje dziecko.

— Anioł idzie przed końmi i one same trafiają do domu, bez furmana?

— Tak, moje dziecko.

— A gdyby ten stary człowiek zgubił drogę i modlił się, czy jemu Pan Bóg już nie zesłałby anioła?

— Bóg jest miłosierny, moje dziecko, i nad najlichszym stworzeniem rozciąga swoją opiekę.

Położyłem się spokojniejszy i już bez trwogi przysłuchiwałem się zgiełkowi burzy. Zdawało mi się, że Bóg tej nocy nie śpi, lecz schylony nad zawiejką od czasu do czasu odgarnia kłęby śnieżycy, patrząc, czy gdzie w polu nie błąka się podróży, aby mu zesłać anioła. Byłem nawet pewny, że kiedy niekiedy nad szumem wichru, skrzypieniem drzew i klekotem wstrząsanych okiennic, słyszę potężny głos, mówiący:

— Wstawaj, anioł!...

Potem na chwilę robiła się cisza.

— Nic nie będzie staremu człowiekowi — rzekłem do siebie i twardo usnąłem.

\*

Nowy rok zaczął się bardzo dobrze. Pan Dobrzański pierwszy raz dał mi cenzurę, na pięknym papierze, ozdobionym girlandą, gdzie wypisał wszystkie stopnie celujące, sprawowanie wzorowe i promocją<sup>23</sup> do klasy wstępnej. Za to mama kazała mi zrobić sanki.

Były to malutkie saneczki, ale jakąż wielką miałem z nich uciechę! Zaraz za budynkami znajdował się pagórek. Na jego szczycie stawiałem sanki, siadałem na nie i — jazda w dół... W połowie wzgórza tylko wiatr świstał mi koło uszu, a potem jechałem już tak prędko, że pędem wydostawałem się aż na otwarte pole. Za pierwszym razem poszło mi dobrze, za drugim — nie wiem, co się stało, lecz zacząwszy jechać na sankach, nagle uczulem, że jadę na głowie, znowu na sankach, znowu na głowie i tak aż na dół, gdzie dopiero puściłem sanki, które uciekły w pole, a ja po pas ugrzązłem w śniegu. W ogóle w początkach sanki równie często jeździły na mnie, jak ja na nich; lecz później nauczyłem się nimi tak doskonale kierować, że nieraz prosił mamę, ażeby ze mną siadła, to ją przewiozę. Ale mama nie miała czasu.

<sup>22</sup>na intencją (daw.) — dziś: na intencję. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>wypisał (...) promocją (daw.) — dziś: wypisał promocję. [przypis edytorski]

Pewnego dnia, gdym się ślizgał, przyszła na wzgórze niańka. Schwyciwszy ją za kark, chciałem gwałtem babinę wpakować na sanki i zjechać na dół. Ale Łukaszowa odepchnęła mnie niecierpliwie i rzekła:

— O, zawsze ci te zbytki w głowie! Ustatkowałbyś się choć dzisiaj.

— Albo co? — spytałem zdziwiony jej tonem.

— Dali znać, że jest wojna — odparła niańka.

— Wojna?... — powtórzyłem za nią — wojna?...

Zarzuciłem sanki na plecy i poszedłem do domu. Wyraz, dopiero co usłyszany, zawsze oznaczał dla mnie coś bardzo odległego i dawnego. Lecz w tej chwili nabrał jakiejś nowej treści, której zgoła nie pojmowałem.

Przechodząc około stodoły, zauważyłem, że parobcy nie mlóćą żyta, lecz rozmawiają o wojnie. Utkwiło mi nawet w pamięci zdanie Walka:

— Komu Pan Jezus miłosierny naznaczył śmierć, umrze i tak, a komu życie, temu i wojna nie da rady.

W kuchni kucharka, wzdychając, tłumaczyła dziewczkom, że dla niej wojna nie nowina, bo już od kilku lat widuje na niebie krwiste słupy i ogniste różgi.

— Znam ja się na tym! — mówiła gospodyni. — Służyłam za dziewczkę u gumienego w miasteczku, u Macieja, co to w dwunastym roku chodził z Francuzem. Ten ci się nam naopowiadał, niby Maciej... Mówię wam, nieraz stało drugiego wojska jak lasu, a przyszedł Francuz, ino się zamajtnął, i już nie ma tamtych. Leżeli, gadał Maciej, jak snopy, kiedy się wóz wywróci.

— Jezu! Jezu! — szepnęła jedna z dziewcząt.

— I już się nie podnieśli, kiedy tak leżeli? — spytała Łukaszowa.

— Jakże się mieli podnosić, kiedy byli poprzetrącani? — odparła kucharka.

Niańka westchnęła.

— Dużo ludzi zmarniało bez<sup>24</sup> te wojny! — rzekła.

— A tera<sup>25</sup> musi<sup>26</sup> zepsuje się najwięcej — zakonkludowała kucharka. — Maciej powiadał, że jak Francuz idzie sam, to jest bieda, ale jak idzie z naszymi, to jest dwie biedy.

W saloniku byli goście. Przez uchylone drzwi sypialni zobaczyłem pana Dobrzańskiego, pana burmistrza i księdza proboszcza. Byli zajęci gwałtowną rozprawą i właśnie zagniewany pan burmistrz wołał:

— Głupstwo jest porywać się z takimi siłami... Gdybyśmy mieli choć ze sto tysięcy wojska, sam poszedłbym pierwszy... Ale tak...

— No, Francuzi znajdą więcej — wtrącił proboszcz.

— Znajdą dla siebie, nie dla nas...

Pan Dobrzański śmiał się.

— Ja wiedziałem — rzekł, trzęsąc ręką — że pan prezydent jesteś czerwony, przy krupniku. Ale w razie wojny będziesz miał tylko czerwony kołnierz...

— Co mi pan tu pleciesz? — wrzasnął prezydent, uderzając w stół obu rękami. — Chyba zwariowałiby Francuzi, gdyby nam chcieli pomagać.

— Pan jużś zwariował... — uśmiechnął się nauczyciel.

Przez chwilę patrzyli na siebie jak dwa koguty. Burmistrz był pąsowy, nauczyciel z trudnością chytał oddech.

— Za pozwoleniem! — wtrącił proboszcz, stając między nimi. — Panie Dobrzański, uspokój się. Panie prezydencie, a co mówi rok pięćdziesiąty dziewiąty i Włochy?...

— Włochy leżą przy Francji — odparł burmistrz — znam przecie jeografią<sup>27</sup>.

— A my leżymy na sercu Francji! — krzyknął nauczyciel.

— A pan przy żołądku Francji — mruknął burmistrz.

Nauczyciel rzucił się naprzód.

— Co mi ten... tu... jakiś... burmistrzyna puszcza finfy pod nos?

<sup>24</sup>bez (gw.) — przez; z powodu. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>tera (gw.) — teraz. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>musi (gw.) — na pewno, koniecznie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>jeografią (daw.) — dziś: geografię. [przypis edytorski]

— Niech ksiądz proboszcz powie temu bakalarzynie<sup>28</sup>... — sapał, cofając się, prezydent.

— Jarmarki otrębywać na gościńcu, a nie gadać o polityce!... — wołał nauczyciel. Prezydent rozkrzyżował ręce.

— Jak Boga kocham, tak wyzwę abecadlarza na pojedynek! — krzyknął.

— Dobrze! — pochwycił nauczyciel — przypomnę sobie fechtunek na burmistrzowskiej skórze...

W tej chwili ksiądz proboszcz i dotychczas milcząca mama moja pochwycili ich.

— A, panie prezydencie!...

— A, panie Dobrzański!...

— Zarąbię!... — rzucił się nauczyciel.

— Zobaczymy!... — groził burmistrz.

— W takiej chwili niezgoda!... panowie!... — błagała ich mama.

— Nie ma zgody z awanturnikami!... — mówił burmistrz, szukając czapki.

— Takich wymieciemy najpierwej!... — odpowiedział nauczyciel, zabierając się do wyjścia.

— A wy, stare dzieciaki!... — huknął proboszcz, podnosząc pięści. — Warchoły!... Sejmikowicze!... Jeżeli w każdym domu naszego kraju jest choćby jeden taki jak wy, to was nie tylko Francuz, ale Pan Bóg nie ocali, bo się sami pomordujecie.

Przeciwnicy zaczęli spoglądać na siebie bokiem.

— Nie moja wina, że pan Dobrzański nie panuje nad sobą — ofuknął burmistrz.

— Z prezydentem zawsze tak kończą się dysputy — odparł nauczyciel. — Zamiast chłodno badać sytuację<sup>29</sup>, unosi się...

Dla otarcia potu z czoła wydobyl kraciastą chustkę, a potem machinalnie tabakierkę.

— Każdy pogląd ma w sobie coś z prawdy i coś fałszu, i dlatego ludzie spierają się — mówił proboszcz. — Ale niesłychana rzecz, ażeby w takich czasach różnica zdań prowadziła do nienawiści i zemsty...

— Ja mściwy nie jestem, mnie wszyscy z tego znają — rzekł burmistrz.

— A ja w takiej chwili nie chcę niezgody — odparł nauczyciel i zażył tabaki.

— No, więc podajcie sobie, panowie, ręce i: razem!... Złe czy dobre: razem!...

— Moi drodzy! — wtrąciła matka, gwałtem zbliżając dłoń burmistrza do tabakierki nauczyciela.

— Niech i tak będzie! — mruknął nauczyciel i podawszy burmistrzowi jeden palec, poczęstował go tabaką.

— Każdy zostanie przy swoim zdaniu — dodał burmistrz i dla ceremonii posypał sobie tabaką górną wargę.

— A Francuzi przyjdą! — bąknął pod nosem nauczyciel.

— Na guwernerów — dodał burmistrz.

Wychyliłem się przez drzwi tak, że mama mnie zobaczyła. Szybko wbiegła do sypialni i popychając mnie ku drzwiom, szepnęła:

— Czego tu stoisz?... idź mi zaraz na drugą stronę.

— Ja pójdę na wojnę! — mruknąłem, stąpając wielkimi krokami.

Zapomniałem już o sankach i ślizgawce, lecz wydobywszy zza szafy mój pałasz, zacząłem przynieść z kuchni osełkę i zacząłem go ostrzyć. Opanował mnie tak wojowniczy nastrój, że gdy Łukaszowa ośmieliła się zażartować z mego uzbrojenia, płątnąłem starowinę żelazem po rękę, aż jej wyskoczył siniak.

Zrobił się krzyk, wbiegła mama... W rezultacie musiałem niańkę przeprosić i długi czas klęczeć pod piecem.

Przez kilka dni kipiało w miasteczku. Przyjezdni opowiadali o wojskach, które gdzieś daleko od nas chodzą po kraju; panie szyły bieliznę, starsi panowie radzili, a młodzi znikali. Podział się gdzieś sekretarz z poczty z dwoma synami pana Stachurskiego, szewca; później sekretarz magistratu z siostrzeńcem pana Władzińskiego, wędliniarza; nareszcie znikł sam pan Grochowski, stolarz, ze swoim czeladnikiem. Chałupkę, w której miał

<sup>28</sup>bakalarzyna — pogard. od *bakalarz*: nauczyciel. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>badać sytuację (daw.) — dziś: badać sytuację. [przypis edytorski]



warsztat, zamknęli sąsiedzi i stała pustką przez parę lat, aż w niej zamieszkał nowy dziedzic. Pan Grochowski i jego czeladnik już nie wrócili.

Gdy mama, rozmawiając z panem Dobrzańskim, utyskiwała, że tyle młodzieży marnuje się na zimnie i słoicie, nauczyciel wzdychał, ale nawet odpowiadał z uśmiechem:

— To tylko do wiosny... Na wiosnę Francuz przyjdzie... Byle wytrwać!...

I na ściennym kalendarzu rachował, ile jeszcze dni do porównania wiosennego, ile do Wielkiej Nocy, a ile do maja.

— W maju sami się nie poznamy! — mówił.

Co do mnie, wybierałem się za innymi. Wystrugałem sobie łuk, pukawkę i wyostrzyłem pałasz tak, że wióry krajał. Miałem pełną głowę wojny i tylko wypadek wstrzymał mnie od opuszczenia domu.

Raz śniło mi się, że widzę długie szeregi żołnierzy w niebieskich frakach, białych spodniach i szkopakach na głowie. Każdy miał w lewej ręce karabin, za plecami pałasz, ceglaste rumieńce na twarzy białej jak kreda i szeroko rozwarte oczy. Wszyscy byli osadzeni na deszczułkach, spojonych na krzyż jak nożyczki. Ktoś nieustannie zamykał i otwierał deszczułki, a żołnierze szykowali się w kolumnę albo w szereg, sztywni, nieruchomi na swoich kołeczkach, strasznie patrzący przed siebie.

Domyśliłem się, że będzie bitwa. Lecz że oprócz mnie nie było nikogo na placu, więc schwyciłem swój pałasz, machnąłem, i całe wojsko upadło na ziemię, obalone. Jeszcze parę razy z wielką trudnością sformowali szereg i kolumnę, potem skrzypiące deszczułki przestały się poruszać i — leżał żołnierz obok żołnierza, z wywróconymi oczyma, z włosami zaczesanymi na skronie, błyszczący farbą, którą był pomalowany.

Wtedy przypomniałem sobie opowiadanie naszej kucharki, że dotychczas tylko Francuz robił podobne spustoszenia, i obudziłem się pełen wielkiej odwagi.

O zwykłej porze, niańka, napaliwszy w piecu, zaczęła mnie ubierać. Gdy mi wciągała buty, rzekłem grubym głosem:

— Trzeba mi na noc buty wysmarować łojem, bo jutro wychodzę.

— Gdzież ty chcesz iść?

— Na wojnę.

— Cóż byś tam robił?

— Już ja będę wiedział, co robić.

Baba popatrzyła mi w oczy.

— W imię Ojca i Syna!... — zawołała. — Świat się kończy czy co, że i ten fąfel gada o wojnie?

Nie powiem, ażebym się rozgniewał; czułem jednak, że teraz nie wypada mi być łagodnym. Właśnie niańka wzuwała mi drugi but, gdy ja, wyrwawszy nogę, kopnąłem ją w kolano i w niedociągniętym bucie wyskoczyłem na środek pokoju, wołając:

— Właśnie, że pójdę do stu diabłów!... A jak mi jeszcze co powiecie, to wam w łeb strzelę...

Nagle staruszka objęła mnie rękami i stała się rzecz, której wcale nie przewidziałem. Nogi moje znalazły się tak prędko w górze, że mi but spadł, brzuch i piersi oparły się na kolanach staruszki, a przed oczyma, zamiast drzwi, zobaczyłem podłogę. Zarazem uczułem, że niańka jedną ręką opasuje mi tułów, drugą zaczyna odpinać guziki barchanowych majtek.

Wiłem się i rzucałem, ale na próżno. Wówczas zacząłem prosić.

— No, wojujże, wyrwij się, kiedyś taki chwyt!... — wołała niańka, trzęsąc się ze zmęczenia. — A ty rozpustniku, ty wisielcze!... W domu i tak pełno zgryzoty, a jeszcze ten nicpoń odgraża się...

Zapłakałem ze wstydu, a wtedy baba postawiła mnie na podłodze i ocierając łzy, mówiła już łagodniej:

— Oto widzisz, jakby ci było na wojnie. Złapałoby cię, i nimbyś nogą grzebnał, dostałbyś z pięćdziesiąt nahajów. Już i ja bym ci wtedy nie pomogła, nawet pani.

Ostatnia uwaga zrobiła na mnie wrażenie.

— Cóż to na wojnie biją się nahajkami? — spytałem zachmurzony.

Doznałem przykrego zdziwienia, jak gdybym nagle usiadł w miejscu, z którego usunięto krzesło. Rzucić się z moim pałaszem na cały szereg wojska potrafiłbym, ale nahajki

przeżądały mnie. W głębi duszy nie wierzyłem, aby to mogła być prawda; swoją drogą, ile razy pomyślałem o wojnie, przywidywało mi się, iż ktoś chwyta mnie wpół i przewraca do góry nogami tak prędko, że nawet nie mam czasu sięgnąć po pałasz.

Ten osobliwszy pogląd na sztukę wojenną ochłodził mój heroizm. Nie wyrzekłem się wojny, ale postanowiłem iść nie prędej, aż tyle urosnę, że mnie lada kto nie wyrwie. Zrobiłem na piecu kreskę, jak mogłem dosięgnąć ręką, i mierzyłem się kilka razy dziennie, patrząc, czy daleko od upragnionej wysokości?... I dziwna rzecz, kiedy byłem wesoły, tom podrasła, a gdym był smutny, tom tak mała, że prawie tracił nadzieję osiągnięcia przed przybyciem Francuzów.

— Ha! — myślałem — to i tak pójdę. Wleżę w środek, i niech mnie nie dają...

Zajęty takimi planami, nie zważałem na mamę, w której usposobieniu zaszły pewne zmiany. Prawie od dnia, kiedy usłyszałem o wojnie, matka źle sypiała, pobladła. Jej energiczny głos przycichnął, coraz mniej biegała po domu, a częściej siadała na fotelu, zmęczona, i zapłótszy palce o palce, marzyła o czymś.

Listy do brata zwykle mama wysyłała przez okazję<sup>30</sup>; w tych czasach zaczęła pisywać przez pocztę. Co dzień wypytywała się o bryftrygiera<sup>31</sup>, a gdy nie nadchodził, wysyłała na pocztę parobka, nakazując mu, ażeby dowiedział się, czy nie ma listu.

Czasem przybywał list, ale nie zmniejszał niepokoju mamy. Odpowiadała natychmiast i znowu czekała, pytała się bryftrygiera i wysyłała na pocztę. Zresztą o bracie nie mówiła nic.

Jakoś przed Wielkanocą siedzieliśmy raz przy obiedzie: mama, pan Dobrzański i ja. Pamiętam, że był postny dzień, bo dali zupełną piwną. Właśnie na drugą potrawę nianka przyniosła talerz pierogów z powidłami, oblanym masłem i posypanych tartą bułką, kiedy ukazał się posłaniec z poczty i oddał mamie list.

Zaczęła go czytać tak długo, iż przyszło mi na myśl, że pierogi na nic wystygną. Machinalnie wziętem do ręki widelec, który upadł na talerz z takim hałasem, iż mnie przeszło gorąco.

Zalękniony, rzuciłem okiem na pana Dobrzańskiego, ale ten siedział bez ruchu, ze spuszczoną głową. Spojrzałem na mamę i zdziwiłem się.

Mama była strasznie zmieniona. Zdawało się, że w jednej chwili twarz jej przybrała piaskową barwę, a oczy w głąb zapadły. Oparła głowę na jednej ręce, a w drugiej, daleko odsuniętej, trzymała list. Usta jej były zaciśnięte i blade.

Siedzieliśmy tak wszyscy troje, milcząc, aż wreszcie na pierogach masło zakrzepło. Nagle mama rzuciła list na stół.

— Pan wie — rzekła do nauczyciela — że Władek poszedł?

Pan Dobrzański poprawił się na krześle, spojrział na list, ale nie odpowiedział.

Matka zaczęła mówić głosem trochę drżącym, lecz uśmiechając się chwilami:

— No, nie wiedziałam, że do tego prowadzi rozum uniwersytecki!... Wydaliśmy na niego dziesięć tysięcy, a ja po śmierci męża pracowałam jak sługa, byle tylko jego popchnąć wyżej. Już nawet nie pamiętam, jak wyglądają całe trzewiki, a pomimo to mam długi. Gdybym dziś umarła, młodszy zostałby chyba pastuchem.

A on, głowa domu, tymczasem poszedł na wojnę!... Nie tylko nie pytał się, ale nawet nie radził matki. Może dlatego, że wygląda na prostą babę!...

Sam zadysponował moimi pieniędzmi, swoją przyszłością i losem tego oto smarkacza, który jednej klasy nie będzie miał za co ukończyć... Cóż pan na to, panie Dobrzański?

— Nie pierwszy on i nie ostatni — szepnął nauczyciel.

— Dla mnie pierwszy i ostatni... — odparła matka podniesionym głosem. — Komu nóż wbijają w serce, ten nie pyta, czy innych spotkało to samo, ale woła, że boli!... Co mnie obchodzą inni?... Inni nie wyrastali pod moim okiem, ja nie oplakiwałam ich, kiedy szli do szkół, nie myślałam, że po całych latach tęsknoty zobaczą ich choć na starość, ażeby się już nie rozłączać...

Oparła głowę na obu rękach.

— Myślałam, że wróci i tu osiadzie. Chciałam go ożenić, oddać cały dom, sama mieszkać na gorze. Oni przyjmowaliby gości, a ja, w moim starym kaftanie, z kluczami,

Matka, Syn, Walka, Nauka,  
Rodzina, Ojczyzna,  
Obowiązek, Zdrada

<sup>30</sup>przez okazję (daw.) — dziś: przez okazję. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>bryftrygier (z niem.) — listonosz. [przypis edytorski]

biegałabym za gospodarstwem. Chciałam go tylko widywać choć przy obiedzie, jeżeliby nie miał gości, oto wszystko... Czym nawet tego niewarta?... Czym kiedy narzekala, że tylko raz na miesiąc pisuje, a po parę lat nie przyjeżdża?... A on tak mi zapłacił!...

Zasłoniła oczy, nie mogąc powstrzymać łez.

— On nawet nie wie, com ja przy nim wycierpiała — mówiła, szlochając. — Urodził się najpierwszy, a był taki duży, że mało nie zmarła... Chorowałam dwa miesiące... A jak ssal!... Rany mi porobił na piersiach... Czasem z bólu ćmiło mi się w oczach, łzy... płynęły jak groch... Ale kiedy przyszła mamka, żał mi go było jej oddać. Bałam się, że może mnie będzie mniej kochał... No, i zgadłam!... Człowiek, kiedy wyjeżdża z karczmy, gdzie popasał, to jeszcze rzuci łaskawym okiem na szynkarza i powie mu dobre słowo... A on wyrzekł się matki, jak nic... I pomyśleć tu, że go już może nie zobaczę...

Stary nauczyciel zwrócił na matkę szkłem zasze oczy.

— Widzi pani — rzekł — to już takie czasy... Czasy!...

Odetchnął zadyszany i mówił dalej:

— Znowu zaczerwieniła mi się blizna na piersiach i noga strasznie boli, jak zwykle na wilgoć... Dziś więcej niż kiedy nad tym cierpię... Ale co ja tu baję. Oto, chciałem powiedzieć, że kiedy pani tak desperujesz po Władku, to sprowadzimy go na powrót.

Matka rzuciła się na krzesło.

— Skąd?... A gdzie jest?...

— Poszukamy, znajdziemy.

— Nie zechce wrócić.

— Wróci. On nie myślał, że pani tak będziesz rozpaczać.

Matka zamysliła się, a nauczyciel mówił:

— Napiszę do znajomych, dowiem się o jego adres i... niech najgorsze czasy przesiedzi w domu.

Nauczyciel wstał od stołu, oglądając się za czapką. Matka także podniosła się i przełotnie spojrziała w okno.

— Gdzie pan idziesz? — spytała.

— Napiszę list — odparł.

W tej chwili za oknem, poślizgując się na śniegu albo grzęznąc w błocie, z wolna włócił się stary człowiek, którego nazywano zdrajcą. Pan Dobrzański nie widział go, ale matka spostrzegła. Drgnęły jej usta i na twarz wystąpił rumieniec.

— Cóż to, wahaś się pani? — spytał zdziwiony nauczyciel.

— Nie.

— Zatem — rzekł — powiem mu tak: matka pod błogosławieństwem nakazuje ci, ażebyś natychmiast wrócił.

— Nie.

— Więc nie pisać?...

— Owszem.

— Więc cóż pisać?... — rzucił się nauczyciel.

— Napisz pan — szepnęła, łkając — że matka posyła mu swoje błogosławieństwo, o którym zapomniał...

I opuściła pokój.

Nauczyciel stał jak automat, bezmyślnie patrząc na drzwi. A gdy niańka zebrała talerze, głośno przeżegnał się i zaczął zwykłą modlitwę poobiednią:

„Dziękujemy Ci, Panie Boże, za Twe dary...”

Nagle przerwał, machnął ręką i wyszedł. Widać nie skończył modlitwy dlatego, że na obiad jedliśmy tylko zupę, a pierogi z powidłami zostały.

Tego samego wieczora zebrał się u nas państwo burmistrzowie z córkami i pani majorowa z wnuczkami, ażeby mamę rozerwać. Panie miały miny jak na pogrzebie. Potem przyszedł pan Dobrzański, podano herbatę i zaczęto rozmawiać. Panny utyskiwały, że niedługo zabraknie kawalerów, jeżeli wszyscy pójdą na wojnę, a pan prezydent rzekł:

— To jeszcze nic, bo tacy, co z wojny wracają, najskorsi są do małżeństwa. Ale będzie gorzej, jak z połowa ich wyginie... Co może zwojować garstka przeciw masie!...

— Przypomnij pan sobie Leonidasa albo Wilhelma Tella — wtrącił pochmurnie nauczyciel.

Burmistrz przymrużył oczy.

— Wilhelm?... Wilhelm?... — powtarzał, na próżno usiłując przypomnieć sobie dwu wymienionych panów.

Pan Dobrzański wzruszył ramionami.

— No — rzekł — nie męcz pan sobie pamięci. A co do tego, że jest ich garstka, nie można inaczej, jeżeli wychodzą jednostki, a setki siedzą w domu. Czy na przykład nie wstyd, żeby taki basayk jak wasz kasjer wygrzewał się tu u wszystkich pieców, kiedy inni giną?...

— Ma rację<sup>32</sup> — wtrąciła majorowa. — Mój Boże! taki czerstwy mężczyzna...

— Dajcie pokój kasjerowi — odezwał się pan burmistrz. — On pójdzie, on nie wytrzyma, ale jako człowiek punktualny musi pierwszej odrobić biurowe zaległości.

Lecz było już za późno, bo panny naradzały się w kącie i, o ilem zmiarkował, coś przeciw kasjerowi wymyśliły.

Od tej pory pan kasjer stał się prawdziwym męczennikiem. Każda panna, którą spotkał, zapytywała go:

— Pan jeszcze tutaj?

A prócz tego co kilka dni posyłały mu zajęczą skórkę albo kądziel.

Po każdym takim prezencie pan kasjer przybiegał do nas, siadał naprzeciw lustra i poprawiając wysoki kołnierzyk, narzekał przed mamą:

— Głupie te panny i fałszywe — mówił. — Niby to chcą, żebym wyszedł, a każda aż piszczy, ażebym się z nią ożenił. Płaczą, że brakuje kawalerów, a i tego chcą się pozbyć, który został. No, ale im pokażę!... — dodał z westchnieniem. — Już obstałowałem długie buty...

Istotnie w kilka dni zaczął pan kasjer składać wizyty w butach, które sięgały mu wyżej kolan. Napomykał przy tym, że może wypadnie mu opuścić miasto, i prosił każdą z panien na osobności, ażeby czasami pomodliła się na jego grobie. Następnie opowiadał mamie, że każda miała lzy w oczach, co sparaliżowało jego wojownicze zamiary.

Więc został. A panny znowu poczęły dziwić się, że jeszcze jest tutaj, i nadsyłać mu kądziel i zajęcze skórki przez rozmaitych posłańców. Doszło do tego, że pan kasjer pobił raz Żydka, który mu odnosił starannie zawiniętą kamizelkę, myśląc, że Żyd należy do spisku i że mu chce doręczyć jaki kompromitujący upominek. Nareszcie pokłóciwszy się ze wszystkimi pannami, kasjer sprowadził sobie podróżną torbę, wziął urlop na dwadzieścia osiem dni i — wyjechał. W końcu zaś tygodnia moja mama, pan burmistrz i pani majorowa odebrali bezimienne listy donoszące, że zginął w bitwie.

Pan burmistrz przybiegł do nas mocno zirytowany.

— Wyobraź sobie pani: zginął!... — mówił do mamy — zginął... taki punktualny urzędnik. Oto są skutki babskich agitacji<sup>33</sup>! Gnębiły go, nękały, aż poszedł i w tej chwili dostał w łeb... Trzeba by może sprawić nabożeństwo żałobne, czy kiego diabła?...

— Nie godzi się tak mówić — zaoponowała moja matka. — Bohaterem, co prawda, nie był on nigdy, ale kiedy go już Bóg powołał, trzeba zmówić wieczny odpoczynek, a nie sadzić diabłami.

Pan burmistrz słuchał, ale krzywił się i patrzył na list donoszący o śmierci.

— Widzisz, pani dobrodziejko, to prawda. Jest tu napisane, że zginął, że bił się walecznie, że nawet cały oddział nosi po nim w sercu żalobę, ale... kiedy ten list tak wygląda, jakby on go sam pisał zmienionym charakterem... Ha, możemy zresztą odprawić nabożeństwo. Nie przyda się jemu, to drugiemu, a zawsze naprawi chłopcu reputację<sup>34</sup>!...

Ale ksiądz proboszcz, odczytawszy list, radził nie spieszyć się z egzekwiami, co mocno oburzyło panny, z których dziś każda oplakiwała pana kasjera na własny rachunek i przed mamą nazywała go swoim rycerzem. Wszczęły się nawet spory o nieboszczyka, których wcale nie można było rozstrzygnąć, ponieważ każda z panien miała po nim takie same pamiątki: wiersze patriotyczne na welinowym papierze, zeschnięte kwiaty i pęczek włosów.

Tymczasem we trzy tygodnie ukazał się pan kasjer. W pierwszej chwili myślano, że jest przynajmniej ranny; władał jednak wszystkimi członkami i nawet utył. Gdy go zaś spytano, co znaczyła wiadomość o jego zgonie, zaczął opisywać tak straszne bitwy, w których przyjmował udział, że pan burmistrz o mało nie uznał go za nieboszczyka po raz

<sup>32</sup>ma rację (daw.) — dziś: ma rację. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>agitacji (daw.) — dziś raczej D.łm: agitacji. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>naprawi (...) reputację (daw.) — dziś: naprawi reputację. [przypis edytorski]

drugi. Ciężkie przejścia nie zostawiły jednak śladów. Opatrzność, czuwająca nad mężnymi, strzegła nie tylko jego osoby, ale nawet jego podróźnej torby, wysokich butów i całej zresztą garderoby, od której wir politycznych wydarzeń ledwie zdołał mu oderwać kilka guzików. Wiem o tym, bo dla przyszycia ich pożyczał pan kasjer od mamy igły i nici.

Pan Dobrzański, wysłuchawszy opisu wszystkich walk i tego, co pan kasjer dokazywał na prawym skrzydle, na lewym skrzydle, jako strzelec i jako kawalerzysta, zakonkludował krótko:

— On tak widział bitwę jak ja Chiny.

Nawet pan burmistrz miał niejakie wątpliwości nie co do męstwa i czynów kasjera, ale co do miejsca i czasu. Z jego bowiem opisów wypadało, że nie jadł i nie spał, tylko walczył, niekiedy od razu w kilku punktach.

Pan kasjer, dowiedziawszy się o tym, zaprosił do naszego domu księdza proboszcza, pana burmistrza i pana pocztmajstra. Gdy zasiedli w saloniku, a proboszcz podłożył sobie rękę pod ucho, ażeby lepiej słyszeć, rzekł:

— Doszło do mojej wiadomości, że są ludzie, którzy powątpiewają o moich zasługach...

— Ależ!... — przerwał zarumieniony pan burmistrz, kręcąc się na fotelu.

— Owszem — pochwycił kasjer — powątpiewają, wiem, że powątpiewają... Otóż ja, chcąc oczyścić się z podobnych zarzutów, przedstawię panom dowody...

Wydobył z kieszeni szczyryk, otworzył go, rozpiął żakiet, potem kamizelkę i zaczął dolny jej brzeg odpruwać.

— Aha!... — szepnął do proboszcza pocztmajster — stan służby...

I podniósł brwi bardzo wysoko.

— Nie! — dumnie odpowiedział kasjer, prując dalej.

— Pewnie lista bitew, w których się odznaczył — dodał burmistrz i niespokojnie uderzył się w udo.

— Wcale nie! — odparł już niecierpliwie pan kasjer i położył na stole papierek mało co większy od bibułki do zwijania papierosów.

Pan burmistrz wsadził okulary i wzięwszy drżącą ręką kartkę, przeczytał półgłosem:

— Aha!... Nominacja na... na pomocnika... na pomocnika naczelnika parafii... A co, mówiłem! — wykrzyknął.

— Teraz panowie chyba wiecie, kim jestem? — zapytał kasjer.

Ale ponieważ do saloniku w tej chwili wszedł pan Dobrzański, więc kasjer, spojrzawszy na niego z góry, pocałował mamę w rękę i wyszedł do miasta.

— Zawsze twierdziłem — rzekł pan burmistrz — że on będzie wielkim człowiekiem! No, panie Dobrzański, zgadnij, czym jest nasz kasjer?...

Nauczyciel oparł się na kiju i rzekł, bystro patrząc w oczy panu burmistrzowi:

— Był i jest chłystkiem...

Pan burmistrz rzucił się na kanapie.

— Ale w tej chwili czytaliśmy jego nominację<sup>35</sup>... — zawołał.

— Na osła dardaneelskiego! — odparł gniewnie nauczyciel.

— Mógłbyś się pan nareszcie do niego przekonać... — wtrącił pocztmajster i machinalnie uderzył pięścią w stół, jakby przybijając stempel.

— Nie mam przekonania do dyrektorów kocich muzyk!... — krzyknął nauczyciel.

— Nie lubię błaznów, a jego szczególnie, choćby miał nominację<sup>36</sup> wypisaną na własnej skórze.

Od tej pory pan kasjer pokazywał swój dokument paniom i pannom, a nawet mnie. Przed mamą skarżył się na ciężar władzy, a do mnie raz powiedział:

— Szczęśliwe dziecko, nie znasz, co to jest odpowiedzialność i troska o wszystkich.

— Wielkich trosk to chyba pan nie ma — zauważyła mama. — Nic pan nie robi, z nikim się nie widuje...

Pan kasjer, jak zwykle, usiadł naprzeciw lustra.

— Bah! — rzekł z westchnieniem, podgarniając palcami włosy. — Co to jest, proszę pani, wciąż myśleć, że tam są głodni, tam źle odziani, tam nieuzbrojeni. Ze tu mogą

<sup>35</sup>czytaliśmy jego nominację (daw.) — dziś: czytaliśmy jego nominację. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>miał nominację (daw.) — dziś: miał nominację. [przypis edytorski]

wywieźć, tu spalić, tu pozabijać!... Bać się o wszystko i o wszystkich, słowo honoru, to nad siły człowieka!...

— Więc po cóż się pan tak boi? — spytała zdziwiona mama.

— Ja się nie boję! — skoczył pan kasjer na krzesło — ale troszczyć się o innych to mój obowiązek... Któż mnie zastąpi?...

Z panem Dobrzańskim wcale nie rozmawiali.

Tymczasem nadeszła wiosna, a mnie poczęła ogarniać nieokreślona tęsknota i ciekawość. Czy wstawałem, czy kładłem się spać, zawsze zdawało mi się, że usłyszę, a może zobaczę coś niezwykłego. Co to miało być? — nie wiem, lecz jestem pewny, że przecucia te podsycala we mnie sama natura, jakaś dziwna w tym roku. Jednego dnia nagle znikły śniegi i ze wszystkich wzgórz zaczęły płynąć potoki wody, jakby ktoś przed nadchodzącymi świętami mył ziemię. Potem zerwał się wiatr i przez kilka dni z największym pośpiechem zbierał wilgoć aż do sucha. Słońce wstawało coraz wcześniej, chcąc także zobaczyć: co będzie? Widziałem, że co dzień wyżej wznosi się nad ziemię i ogarnia szersze widnokregi, a ku wieczorowi ociąga się z zachodem. Raz nawet, schowawszy się za horyzont, wychyliło się powtórnie, jak zbudzony człowiek, który podniósł głowę i pyta: a co tam?...

Wnet zazieleniły się pola, a z niektórych drzew, pierwiej niż liście, wyskoczyły kwiaty i patrzyły zdumione, szemrząc: „Tu coś miało być?... czy jeszcze nie było?...” Zdawało mi się niekiedy, że wiatr, płynący zza lasu, coś im szepcze, a one chwieją gałęziami i ze zdziwieniem szeleszczą: „Aj, aj! aj!...”

Nieraz uważałem, że nauczyciel, idąc do nas na lekcję, stawał na ulicy i oglądał się za siebie. Po co?... Czasami mama biegła do okna i popatrzywszy chwilę, wracała, jakby ją zawód spotkał. Nawet służba folwarczna bez powodu gromadziła się na dziedzińcu i milcząc, śledziła horyzont.

Raz zobaczyłam coś nowego w pokoju. — Aha!... — krzyknąłem — jest!... — Lecz była to tylko pierwsza mucha w tym roku, pólenna i wygłodzona.

Przyleciały skowronki i pionowo wzbijając się nad polami, ogłaszały coś w swoim zdrobniałym języku, a potem nagle padały na ziemię jak kamień, świegocząc zalęknione: „Już! już!”. Przyleciały bociany i zasiadłszy w gnieździe na topoli, po całych dniach opowiadały niesłychane historie, z niedowierzaniem kiwając głowami. Przeciągały obłoki, czasem pokłębione i spieszące się gdzieś, niekiedy poszarpane i jakby uciekające.

— Skąd one? dokąd one? o czym rozpowiadają bociany? czego lękają się skowronki? — pytałem. I paliła mnie ciekawość ujżenia nieznanych rzeczy.

Nawet w domu nie miałem spokoju. Czasem wróbel siadał na gałęzi i pilnie przypatrywał się salonikowi; to znowu wpadał wiatr przez okno i z szelestem obiegał nasze pokoiki; to znowu słońce wysyłało na zwiady pęk światła, który ostrożnie zaglądał za piec, pod stolik, za kanapę, i wreszcie — cofał się drżący, aby za kilka dni powtórzyć swoje śledztwo.

— Czego oni chcą od nas? czy to u nas ma coś być? — pytałem zatrwożony. A wtem zegar stanął. Gdy pobiegłem zobaczyć, co mu jest, spostrzegłem obok na stoliku książkę do nabożeństwa, otwartą na słowach suplikacyj<sup>37</sup>: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami...”

Od tej pory wszystko mnie przerażało. Czekałem na coś nieznanego, a gdy raz nianka krzyknęła głośnie:

— Już idzie!... idzie!...

Zerwałem się od lekcji i wpadłem do kuchni, pytając:

— Co idzie?...

— Walek z miasta — odpowiedziała. — Ale cóż tak pobladł?...

— Nic, nic...

I wróciłem przekonany, że — już coś idzie tutaj, na co wszyscy oczekiwali.

Któregoś dnia, w pierwszej połowie maja, zrobił się u nas ruch. Po południu przyszedł pan kasjer.

<sup>37</sup>suplikacyj (daw.) — dziś D.Im: suplikacji; suplikacja: w kościele katolickim pieśń błagalna, śpiewana szczególnie w okresie klęsk itp. [przypis edytorski]

— Boję się — mówił wzruszonym głosem do mamy — boję się, żeby u nas nie było jakiego głupstwa. Jedni z tej strony, drudzy z tamtej, a my: we środku... Może być źle...

I otrząsnął się jak na mrozie.

— Cóż tam panu? — odparła mama. — Pan już jesteś oswojony, ale my... A jednak... przyjmujemy wszystko, co Bóg da.

— Nie myśli pani wyjechać? — spytał nagle. — Bo ja w razie czego...

— Dokąd?... Zostają inni, zostaniemy i my. Co nas ma spotkać, niech spotka na miejscu. Nie wiadomo, czy uciekając przed imaginacją, nie trafilibyśmy na nieszczęście.

Pan kasjer pobladł.

— To prawda, to prawda — rzekł. — Ha, więc i ja zostanę.

Pożegnał mamę, lecz wrócił się ode drzwi.

— Jednakże dzisiaj można by jeszcze znaleźć wolną drogę... Kto wie, czy nie wyjadę...

Nagle — machnął zaciśniętą pięścią i tonem wielkiej energii dodał:

— Zresztą, pal diabli!... Zostanę. Raz kozie śmierć...

Ale na ganku znowu widać opuściła go energia i z miną bardzo zafrasowaną oglądał się na wszystkie strony.

Dziwna rzecz, te wątpliwości kasjera obudziły we mnie złowrogi przeczuć, jak gdyby od jego pozostania w mieście zależało czyjeś życie. Byłem tak zmieszany, że pomimo nieśmiałości zapytałem matki:

— Moja złota mamó, co to będzie?...

Nadspodziewanie matka, zamiast ofuknąć, pogłaskała mnie i odpowiedziała spokojnie:

— Nic nie będzie, moje dziecko, nic. Weź się do książki i nie rób takich wielkich oczu, bo będą śmiać się z ciebie jak z pana kasjera.

Słowa te od razu mnie uspokoiły. Rozejrzałem się. W kuchni, jak zwykle, krzątają się około obiadu, na dziedzińcu chłopiec rąbie drzewo, ogród kipi śpiewem ptaków, a z nieba leją się potoki wiosennego światła.

„Co tu nabijać sobie głowę jakimiś strachami?” — pomyślałem i zamiast do książki, wziąłem się do robienia wózka.

W duszę zaczęło mi napływać majowe ciepło, szelest drzew, zapach kwiatów... Chwilami odkładałem na bok wózek, ażeby przypatrzeć się mrówce, z wolna przechodzącej z trawy na trawę, albo, schwyciwszy rękoma za gałąź, huśtałem się i wywracałem koziółki, śmiałem się, sam nie wiem z czego. Czulem tylko, że jak tym oto ptakom, tak mnie serce napenia radość i że mi jest dobrze na świecie. Zdaje mi się, że była to najszczęśliwsza chwila w moim dzieciństwie. Spadła bez powodu, trwała krótko i nieznacznie odeszła.

Dzień upłynął spokojnie. Około dziesiątej wieczór, jak zwykle, rozebrała mnie niańka i — twardo zasnąłem. Wkrótce ocknąłem się, ale niezupełnie; poczucie rzeczywistości mieszało się z marzeniem. Wiedziałem, że jest noc i że leżę na łóżku, lecz marzyłem, że w poduszce jest jakby czworokątne okienko, przez które patrzę na inny świat. To znowu zdawało mi się, że pływam w nieokreślonej przestrzeni, a jednocześnie słyszę, że ktoś stąpa po pokoju. Chciałem otworzyć oczy, ale zarazem mówiłem sobie: jeszcze chwilę, otworzę później... Nagle zatrzęsłem się od stóp do głów i usiadłem na łóżku. Jakiś głos cicho, ale wyraźnie szeptał prawie nad moim uchem:

— Już idą...

— Kto tu jest? — zapytałem strwożony.

Żadnej odpowiedzi.

Zeskoczyłem na podłogę i po omacku doszedłem do łóżka mamy. Ale mamy nie było.

Wróciłem na swoją pościel i owinąwszy się kołdrą, słuchałem. Z ulicy dochodził jakiś ciągły szmer, podobny do rzęsistego deszczu. Przetarłem oczy; szmer nie ustał, ale zrobił się podobny do stąpania wielu ludzi po piasku. Czasami coś szcęknęło, czasami koń parsknął, to znowu coś ciężko toczyło się i na mgnienie oka ustawało. Potem rozległo się szarpnięcie — i znów słychać przytłumione toczenie się, parskanie, niekiedy szcęk, na tle jednostajnego szmeru, jakby ludzkich nóg, które szły i szły bez końca.

Trwało to dłużej niż kwadrans, a gdy zegar wykukał drugą godzinę, szelest osłabnął, zagłuszony cichym turkotem wozów. Teraz dopiero usłyszałem na ulicy głos z ludzkiej piersi; ktoś przeciągle ziewnął: „A... a... a!...”

Potem i turkot przycichnął, po raz drugi odezwał się szmer jednostajny i toczenie się chwilami przerywane — i z wolna wszystko umilkło. A wtedy zauważyłem, że pod ścianą domu na dziedzińcu ktoś mówi jęklwym głosem: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami...”.

Nie mogłem wytrzymać. Wstałem z łóżka i z wyciągniętymi rękoma, potykając się w ciemności o sprzęty, wyszedłem z pokoju do sieni, mówiąc przyciszonym głosem:

— Mamo!... gdzie mama!...

Uderzyłem ręką w drzwi, wychodzące na podwórze, ale drzwi były zamknięte. Już chciałem wołać, ażeby kto przyszedł, gdy wtedy padło na mnie z góry skąpe światło. Przypomniałem sobie pokoik na strychu i wdrapałem się tam po schodach, które za każdym krokiem żałośnie skrzypiały.

Stanąłem przy oknie. Owiął mnie świeży oddech nocy i pierwszy, niepojęty strach zaczął stopniowo zmniejszać się, przechodząc w ciekawość.

— Nic nie ma — mówiłem w duchu. — Zwyczajni jacyś ludzie idą i jadą...

I wytężyłem wzrok, kierując się odległym szmerem, który jeszcze dolatywał od czasu do czasu. Noc nie była ciemną, ani pochmurną<sup>38</sup>; był to raczej szary zmrok, nad którym unosiło się czarne niebo, słabo iskrzące gwiazdy, a nisko, nad horyzontem, pasek księżycy w ostatniej kwadrze, wążutki i ponury. Przy tym świetle zobaczyłem coś, o czym nie marzyłem nawet we śnie. Na bocznej drodze, w lewo od naszego domu, sunęła między polami żmija!... Głową już sięgała samotnej chaty, a ogon jeszcze krył się w olszynie. Wypełniała całą szerokość drogi, czołgając się powoli, w ogromnych skrętach. Od olszyn zginała się na prawo, od jaru wielkim łukiem zwracała się w lewo, około chaty znowu w prawo. Miejscami zapadała w doliny, miejscami pełza po wzgórzach. Blask księżycy, skośnie padający na ziemię, oświetlał to niezmiernie cielsko, najeżone iglicami, których końce migotały w sposób nad wszelki wyraz dziwny. Niekiedy zdawało się, że to fale potoku, a czasem wyglądało jak iskierki ciemnego ognia, gdyby ogień mógł być ciemnym<sup>39</sup>.

Przypadkiem spojrzełem na gościniec, który biegł na prawo do miasta, i tam, już niedaleko lasu, zobaczyłem takiego samego potwora. Tylko ten zdawał się być jeszcze dłuższy, jeszcze grubszy i lśnił się jeszcze posępniejszym blaskiem.

Na podwórzu rozległ się szelest kroków; poznałem niańkę.

— Co to jest, Łukaszowo, tam na gościńcu?

— Wojsko!... — odparła chrypliwym szeptem.

— Wojsko?... — powtórzyłem. — Wojsko!... — i zeszedłem na dół.

Mama już wróciła do pokoju i zapaliła świecę. Myślałem, że mię wykrzyczy za to, że wyszedłem z łóżka i w jednej koszuli wlałem na strych. Ale nie robiła mi żadnych wymówek.

Sam nie wiedząc dlaczego, zacząłem się ubierać, a następnie, już wciągnawszy but na nogę, położyłem się i zasnąłem. Musiałem przez sen krzyczeć, bo mama zbudziła mnie, oglądała mi usta i dotykała głowę.

Okolo dziewiątej z rana (właśnie kończyłem jeść kaszę z mlekiem), przybiegł do nas pan kasjer. Był nieuczestny i już w progu zawołał:

— Nie zgadnie pani, co zdarzyło mi się dziś w nocy!... Mały figiel, i nie zobaczylibyście mnie więcej... Ale... Dzień dobry pani!... Jestem tak wzruszony, że nawet zapomniałem przywitać się.

Pocałował mamę w rękę, mnie pogłaskał i usiadł na krześle.

— Cóż się stało? — zapytała mama, ze zdziwieniem patrząc na niego.

— Nadzwyczajny wypadek, jaki tylko mnie mógł spotkać! — odparł kasjer.

I nagle dodał, wysilając się na słodką minę:

— Czy nie dostałbym u pani szklanki wody?...

— Może herbaty?...

— Z największą chęcią...

— A może z arakiem<sup>40</sup>?...

— Pani taka łaskawa... Stokrotne dzięki!...

<sup>38</sup>nie była ciemną, ani pochmurną (daw.) — dziś: nie była ciemna, ani pochmurna. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>mógł być ciemnym (daw.) — mógł być ciemny. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>arak — napój alkoholowy na bazie anyżu. [przypis edytorski]



Wnet przyniesiono herbatę, cukier i arak. Pan kasjer upił trochę herbaty, dołał araku, znowu upił i znowu dołał, potem — jeszcze raz dołał i zaczął:

— Słyszała pani, że dziś w nocy przechodziło wojsko?...

Mama skinęła głową.

— Masa wojska... masa!... Piechota, kawaleria... armaty!... — dodał ciszej. — Armaty tak wielkie, że ledwo konie mogły uciągnąć...

W tej chwili przyszło mi na myśl owo ciężkie toczenie się, które słyszałem w nocy.

— Masa wojska i masa armat — mówił kasjer, popijając każde zdanie herbatą.

— Ja — prawil — już spałem. Śniła mi się — wtrącił niedbale — bitwa, w której odznaczyłem się najwięcej, gdy wtem — budzę się i słyszę, że idzie wojsko!...

Zrywam się, nie tracę przytomności, ale mówię w duchu: „Już po mnie”... Wiadomo pani — dodał ciszej — jaką tu odgrywam rolę, a gdyby mnie schwytano...

Ostatni wyraz wypowiedział bolejącym tonem. Odgadłem, że bardzo się żałował.

— Naturalnie, pierwsza rzecz zniszczyć ślady. Sięgam do portmonetki, gdzie schowałem moją nominację<sup>41</sup>, po ciemku wyszukuję ją i... polykam!...

No teraz, myślę, niczego mi nie dowiodą, i spokojnie zasypiam. Uważa pani, zasypiam najspokojniej w świecie... Brm!...

Pan kasjer otrząsnął się i znowu dołał araku.

— Tymczasem — tu zniżył głos — niech sobie pani wyobrazi, wstaję rano, chcę słudze dać pieniądze na bułki, otwieram portmonetkę i... w pierwszej przegrodzie, wie pani, co znajduję?... Moją nominacją!... O, tę samą!...

Istotnie trzymał w ręku niebieski paperek.

— Struchlałem — prawil — pot mnie oblał. Boże, gdyby tak w nocy zrobili rewizją<sup>42</sup>!... Ale, czy wie pani, co połknąłem zamiast nieszczęśliwego dokumentu?...

Spoglądał kolejno na mamę i na mnie.

— Połknąłem... paperek trzyrublowy!... Połknąłem ostatnie trzy ruble, które mi były bardzo potrzebne, a zostawiłem nominację, która mogła mnie zgubić!...

Trzeba było tylko rewizji, nic więcej. Niebezpieczeństwo stało za oknem, otarło się o mnie... Przez pół godziny byłem nad grobem!...

Myślałem, że pan kasjer zemdleje z żalu nad swoim możliwym nieszczęściem, i nie wiem dlaczego, żałowałem, że nie połknął swojej nominacji.

— Także zdarzenie! — odezwała się mama.

— Więc i pani mówi o tym tak spokojnie? — zdziwił się kasjer.

— Nic przecież nie stało się panu.

— Ale mogło... mogło się stać! — zawołał.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz potrząsnął głową. Następnie zaprowadził mamę do pieca i szepnął kilka wyrazów. Zdaje się, że mówił o połkniętych trzech rublach i że nawet w tym interesie wyszedł z mamą do drugiego pokoju na poufniejszą rozmowę.

W południe ukazał się pan Dobrzański. Mama wybiegła do niego.

— Słyszał pan... dziś w nocy!... — zapytała.

Kiwnął głową.

— Dużo wojska... dużo!... — mówiła matka. — Szli z trzech stron.

Nauczyciel uśmiechnął się.

— Wszystko dobrze!... — odpowiedział.

Wesołość jego wpłynęła na mnie.

— No, Antoś, a my siadajmy do roboty. Powiedz deklamacją<sup>43</sup>.

Zacząłem:

W noc księżycową, na cecorskim błoni,  
Gdzie Żółkiewskiego spotkał los okrutny,  
Jechał Sieniawski odważny i smutny.  
Niebieskie oczy serce mu zraniły  
I swą srogością...

<sup>41</sup>schowałem moją nominację (daw.) — dziś: schowałem (...) nominację. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>zrobili rewizję (daw.) — dziś: zrobili rewizję. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>powiedz deklamacją (daw.) — dziś: powiedz deklamację. [przypis edytorski]

W tej chwili w pokoju drgnęły szyby.

— „Niebieskie oczy — powtórzył nauczyciel — serce mu zraniły i swą srogością spokoju zbawiły”. Czemu nie kończysz?

Szyby drgnęły powtórnie.

— „Niebieskie oczy”... Czemu nie kończysz?...

Szyby drgnęły dwa razy raz po raz.

— Na co się gapisz? — spytał nauczyciel. Widocznie nic nie zauważył.

— Ktoś chodzi po strychu — odparłem, zmieszany nie pytaniami nauczyciela, ale tym odgłosem, jakiego jeszcze nie słyszałem.

— Chodzi po strychu? — powtórzył nauczyciel, podnosząc głowę.

Szyby znowu zadrzały.

— Nie, to nie na strychu — rzekłem — to coś zrzucają...

— Co? gdzie?... Tobie się marzy?...

— Przecież okna drżą...

Nauczyciel zerwał się z krzesła przerażony.

— Co ty mówisz, dziecko? — zawołał, chwytając mnie za rękę. — Gdzie okna drżą?...

— Drżą, panie...

— Ty kłamiesz...

— Nie, panie, ja słyszę...

Wziął mnie za drugą rękę.

— Przyznaj się — mówił — nie umiesz deklamacji i straszysz starego nauczyciela... To szkaradnie!

Patrzyłem zdumiony, myśląc, że stracił rozum. Cóż tak nadzwyczajnego, że trochę trzęsą się szyby?

W tej chwili weszła mama.

— Panie Dobrzański — rzekła niespokojnie — jest coś złego...

Teraz ściany drgnęły, a szyby zadźwięczały.

Nauczyciel cofnął się.

— Bitwa — rzekł głucho.

I usiadł na moim krześle, opierając ręce na kolanach.

Na podwórzu zrobił się hałas. Wybiegliśmy. Nasz parobek i dziewczyny rozmawiali z jakimś Żydkiem, który jechał biedą<sup>44</sup> z miasta. Pokazał batem w kierunku samotnej chaty, wołając: „Tam! tam!...”. — I znowu popędził konia chudego i okrytego pianą.

— Tam! tam!... — powtórzył parobek, pokazując na las, na krawędzi horyzontu.

— Jezu! Jezu!... — lamentowała niańka.

Wymknąłem się po schodach na górkę i spojrzałem. Nic nie widać. Na skraju nieba kilka białych obłoków, niżej — błękitny las — wygon, po którym chodzą kasztanowate i czarne krowy — nad olszyną bocian wracający do gniazda i — nic więcej. Słońce świeci jak zwykle, dzień spokojny, czasem powieje ciepły wiatr od południa, a w powietrzu — cisza. Nawet ptaki nie świergoczą...

Ściany znowu drgnęły. Znowu cisza i znowu kilka drgnięć. Wyrzałem w stronę miasteczka. Z domów powychodzili ludzie i stojąc przed sieniami, słuchali.

— Więc to jest bitwa? — pomyślałem. — Phy! i ja bym tak potrafił.

Nie schodziłem jednak, licząc na to, że może pan Dobrzański zapomni o mnie, i upiecze mi się lekcja. Ale nadspodziewanie nauczyciel zawołał mnie na dół.

— No — rzekł, usiłując zapanować nad sobą — każdy robi, co do niego należy. A my wróćmy do naszego.

Siadł, kazał mi znowu zacząć deklamację, ale zmienił zamiar i zaczął liniować kaset. Chciał wypisać pierwszy wiersz, ale nie mógł utrzymać pióra w ręku, więc zadał mi przepisywanie z książki.

Gdy wziął się do roboty, on zaczął chodzić po pokoju. Co chwilę zbliżał się do okna i słuchał, a czasami mruczał:

— To ariergarda<sup>45</sup>... Wymknęli się... Nawet już nic nie słyhać...

— Prawda, że nic nie słyhać? — zapytał mnie.

<sup>44</sup>bieda — tu: wóz dwukółowy bez koźła. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>ariergarda (wojsk., z fr.) — tylna straż. [przypis edytorski]

Pomyślałem, że nauczyciel jest głuchy. Nie tylko bowiem drżenia okien powtarzały się co chwilę, ale w dodatku towarzyszył im jakiś odgłos wyraźniejszy, jakby gdzieś bardzo daleko zrzucano belki z wozu.

Nareszcie odgłosy stały się już tak mocne, że i pan Dobrzański usłyszał je. Wziął kij i czapkę i rzekł do mnie:

— Nie będzie lekcji, możesz pochować książki.

Na podwórzu stała mama, pan pocztmajster i kasjer. Pocztmajster trzymał w ręku długą lunetę, a kasjer zdawał się być bardzo kontent.

— Teraz mogą wszyscy przekonać się — mówił kasjer, niespokojnie drepzcząc na miejscu — że mam diabelnie zimną krew. Nic a nic mnie to nie obchodzi. Ja taki zawsze w niebezpieczeństwach...

— Panu chyba nie grozi żadne — odparła mama chłodno.

— Kto wie?... Nam wszystkim może grozić...

Przy ostatnich wyrazach zakrzuszył się i umilkł.

— Stąd nic nie widać — mówił pan pocztmajster, przykładając do oka lunetę. — Muszę wejść na górkę...

— Ja pana zaprowadzę! — zawołałem.

Weszliśmy tam i pan pocztmajster spojrział przez lunetę. Lecz wnet odjął ją, wytarł chustką szkła z obu stron i znowu patrzył.

— Widzi pan co? — spytałem zaciekawiony.

— Widzę... Pszenicę... Las, a za lasem... Nic — i stąd nic nie widać.

— Z dzwonnicy pewnie by pan zobaczył.

— Masz racją<sup>46</sup>, kochanku! — wykrzyknął pan pocztmajster. — Z dzwonnicy: wyborna myśl!...

I zbiegł ze schodów.

Na dole mówił kasjer do mamy:

— Słowo pani daję, mam tak swobodną myśl, że mógłbym tańczyć. Mnie to nawet zajmuje, a nawet powiedziałbym, że trochę bawi. Dziś dopiero przekonałem się, że niebezpieczeństwo, to mój żywioł... Bum!... bum!... cóż to za muzyka...

W tej chwili wbiegła na podwórze pani pocztmajstrowa.

— Ach, co za nieszczęście! — mówiła do mamy, całując ją dwukrotnie. — Straszny dzień... Ja i prezydentowa pakujemy rzeczy, a majorowa kazała nakryć się poduszkami. Słyszy pani wystrzały?... Umarłabym, gdyby do nas wpadła kula!...

— Ale gdzie mój mąż? — spytała nagle. — Czy pani da wiarę, że chciał tam pojechać i przypatrywać się?... On nie ma serca... Musiałam aż zakląć go na nasze szczęście małżeńskie, a nawet powiedziałam, że pojedzie, ale... po moim trupie... Więc został, ale cóż z tego? Wziął lunetę i patrzy!... Umarłabym, gdybym spojrziała w lunetę... Co za huk!... Słabo mi się robi, kiedy pomyślę, że w tej chwili giną ludzie... Jakie szczęście, że to daleko...

— Giną ludzie?... — powtórzyłem i mróz mnie przeszedł. Dotychczas nie pomyślałem nawet, że te stłumione odgłosy mogą oznaczać śmierć.

Raz widziałem utopionego chłopca. Był mało co większy ode mnie, a jednak przez kilka dni obraz jego zaślaniał mi cały świat. W tej chwili przypomniałem go sobie. I zdawało mi się, że widzę dwu, trzech... dziesięciu... stu takich chłopców, w rozpiętych koszulach, w wypłowiałych sukmanach, z nabrzmiałymi twarzami.

Powietrze napełniły nowe odgłosy. Dał się słyszeć nieustanny szmer, jakby groch sypiano na blachę, i od czasu do czasu rozlegały się urywane, gniewne, jakby szczekania olbrzymich psów: hau!... hau!... hau!... Przed oczyma coraz częściej przesuwały mi się obrazy martwych chłopców. Więc ukląknęłam przy oknie i pełen smutku zacząłem mówić pacierz.

Na podwórzu znowu usłyszałem rozmowę. Był to pan burmistrz, pan Dobrzański i mama.

— Fatalny dzień! — mówił pan burmistrz — ale jakoś nie upadamy na duchu.

<sup>46</sup>masz racją (daw.) — dziś: masz rację. [przepis edytorski]

— Wolalabym go nie doczekać — odpowiedziała mama. — Chodzę jak błędna, miejsca sobie znaleźć nie mogę. Zdaje mi się, że parę tych godzin to całe lata i że nigdy się nie skończą...

— Tak i mnie — mruknął nauczyciel. — Zestarzał się człowiek, kiedy słysząc armaty, trwoży się jak baba... Tfy!...

— Dziwna rzecz — odezwał się burmistrz, nadstawiając ucha — bitwa zbliża się...

— To źle! — rzekł nauczyciel.

Przybiegł kasjer, wołając:

— No, ja panie prezydencie, wyjeżdżam z paniami... Tu może być awantura... Poczta majster mówi, że zbliżają się...

— To pan jedź! — odparł gniewnie burmistrz — ja nie ruszę się z miasta...

— Ależ pan musi jechać z nami... Jedzie pani, panny...

— Żona i dzieci zostaną ze mną. Nie po to jestem burmistrzem, żebym w takiej chwili uciekał.

— Panie prezydencie...

— Nie zwracaj mi pan głowy! Panu wolno dbać o swoją skórę, boś wielki człowiek, ale ja...

Wyjrzałem. Pan burmistrz był czerwony i wywijał pięściami, aż mu czapka zsunęła się bakier. Za to pan kasjer był bardzo mizerny, i zdawało mi się, że ma nogi cieńsze niż zwykle.

Odgłosy wciąż zbliżały się, ale już byłem z nimi oswojony. Ogarnęło mnie uczucie, że trwają od początku świata i że tak być powinno. Około drugiej uczułem głód; a że dziś obiadu nie gotowano, więc niańka osoliła trochę gorącej wody, wrzuciła w nią masła i nadrobiła chleba. Jedząc taką zupę, myślałem, że jest to dzień gorszy od wielkiego piątku, bo wtedy na obiad dają choć grzane piwo i śledzie z kartoflami, nie wodziankę.

Podniosłem do ust łyżkę, kiedy nagle zatrzęsł się dom od huku bez porównania gwałtowniejszego niż dotychczas; zdawało się, że występują jakieś nowe potęgi. Aż pochyliłem się na stół, a przerażona niańka, krzycząc, zaczęła biegać po pokoju. Byłem pewny, że już za naszym ogrodem rozlegają się te częste i ogromne wystrzały.

Niańka zupełnie straciła przytomność. Wydobyła z komody kilka srebrnych łyżek i zawinęła je w fartuch, a potem mnie zaczęła ciągnąć za rękę, wołając:

— Chodź do lochu, bo tu śmierć!... Zabiją ciebie i mnie... zabiją wszystkich... słyszysz!...

Wyrwałem się jej, a starowina wybiegła z pokoju, modląc się głośno.

Łoskot był tak straszny, jak gdyby waliło się miasto. Gorąco uderzyło mi do głowy, a potem uczułem spokój, jakbym skamieniał. Bez obawy spojrzałem w kierunku łąk i nie zobaczyłem nic.

W tej chwili przybiegła do nas zapłakana pani Stachurska, z krzykiem dopytując się o mamę;

— Niech no pani pójdzie na miasto! — wołała. — Wszyscy powariowali... wszyscy przez nich zginiemy!...

Chciałem i ja iść, ale mama kazała mi zostać w domu, a sama wyszła ku rynkowi.

W domu nie było nikogo. Parobek z najmłodszą dziewczką wleźli na stodołę, aby paź trzeć, a kucharka z niańką ukryły się w lodowni.

— Bywaj!... Pali się!... — krzyczano na ulicy.

Nie pamiętam, jak i kiedy znalazłem się znowu na górze. Od strony lasu szeroką falą płynęło ku nam gęste trzaskanie, co chwilę przerywane wielkimi łoskotami. Zdawało się, że przy najpogodniejszym dniu biją pioruny. Padł jeden, potem dwa, znowu jeden — trzy — pauza — i znowu dwa...

Spoza lasu wznosił się słup dymu. Stał wysoko nad drzewami i począł rozciągać się na prawo i na lewo, podobny do grzyba na czarnej nodze, w rudym kapeluszu. Z ugoru pędem uciekało bydło; na niektórych podwórzach psy zaczęły wyc i szczekać. Od kościoła rozległ się głos dzwonu, przyspieszony, urywany, jak na pożar, kiedy serce uderza tylko w jedną krawędź. Dzwonił kilka chwil bez przerwy, nagle ustał i jeszcze odezwał się parę razy, jak gdyby ktoś przeszkadzał dzwonnikowi i gwałtem odrywał go od sznura.

Spojrzałem ku miastu. Na wielu dachach siedzieli ludzie, z domów wynoszono pościel i skrzynie. Na rynku Żydzi skupili się około magistratu, garstka kobiet klęczała przed figurą świętego Jana, a na środku widać było dziwną scenę.

Tłum mieszczan, między nimi pan Stachurski, szewc i pan Władziński, wędliniarz, spirali się o coś z panem burmistrzem, panem Dobrzańskim i moją mamą. Widocznie chcieli iść ku gościńcowi, ale tam proboszcz zastąpił im drogę. Kilku siadło na wóz, który ruszył; ale pan Dobrzański uwiesił się przy lejcach i tak skręcił konie, że wóz wywrócił się.

Wtedy piesza gromada posunęła się naprzód. Gwałtem odepchnęli proboszcza, obalili burmistrza i wołając, poczęli biec gościńcem. Ich krzyk mieszał się z łoskotem i trzaskiem od strony lasu, tworząc jedną burzę, od której zaczęły pękać szyby w oknach.

Nagle przeciągły łoskot ustał. Po chwili jeszcze kilka razy odezwał się huk bliżej i dalej, a potem — cisza, jak gdyby świat oniemiał...

Gromada biegnących mieszczan stanęła, przysłuchując się. Wtem z jednego dachu ktoś krzyknął, nie wiem nawet co, i — cały tłum, przed chwilą tak niepohamowany, począł teraz uciekać. W kilka minut nie było nikogo ani na rynku, ani na ulicy, ani na dachach.

Nad wieczorem część nieba zaciągnęła się chmurami i spadł rześisty deszcz. Ponieważ w kilku oknach brakowało szyb, więc mama kazała zamknąć okiennice. Czeladź, zebrawszy się w kuchni, opowiadała o minionych wypadkach, a my z mamą siedzieliśmy na kanapie, w ciemnym pokoju, do którego przez otwory okiennic wpadało purpurowe światło zachodzącego słońca.

Oboje milczeliśmy. Mama była znużoną<sup>47</sup> i przymknąwszy oczy, oparła głowę na krawędzi kanapy; ja wpadłem w jakieś odrętwienie. Przysłuchując się obecnej ciszy, na próżno usiłowałem ożywić sobie w pamięci to, com widział i słyszał tak niedawno.

Chwilami myślałem, że wszystko było przywidzeniem. I znowu zdawało mi się, że czerwone smugi na ścianach to odbłask krwi, przelanej niedaleko od nas.

Na ulicy rozległ się tętent i szcęk, jakby kilku konnych przeleciało galopem w stronę miasta. Podniosłem głowę i... znowu usłyszałem ten sam co w nocy szelest ludzkich nóg, ciężko toczące się wozy i uderzenia niezliczonych kopyt końskich. Nad tym wszystkim górował szmer głosów, jakby rozmawiały tysiące; czasami zerwał się śmiech albo gniewny okrzyk.

Hucząca fala stopniowo zbliżała się do miasta. Już dosięga opłotków, już mija stodoły, już jest przy naszym domu. Wtem rozległ się donośny głos komendy, wielokrotnie powtórzony przez jakieś echa i — szmer ucichł... I oto dom znowu zatrzęsł się od posad do strychu. Zagwizdały piszczałki, zawarczały bębny i z tysiąca piersi wybuchła pieśń. Można było pomyśleć, że nieznanne siły przyrody, stargawszy wędzidla, rwą się i pędzą w szalonych skokach — to znowu, że biadają wszystkie jesienne wichry albo że z nieba runęła na ziemię burza i toczy się zapieniona i potężna.

Czasami chór milknął, a wtedy słychać było ostry głos zawodzący dyszkantem i niecierpliwe tętnienie bębna. Wnet zrywał się nowy uragan, walił we drzwi i okna domów, natrząsał się z bólów ludzkich, kopał ziemię i rozbijał o niebo. Zdawało mi się w krwawym zmroku, jaki napełniał pokój, że zawieszzone na ścianach drżą święte obrazy i patrzą na mnie zdziwionymi oczyma.

Nie mogłem wytrzymać tych spojrzeń, ani tamtych głosów. Przypadłem do kolan matki, owinąłem głowę jej fartuchem, zatkałem uszy i, sam nie wiem dlaczego, zapłakałem z głębi serca, łzami gorzkimi jak piołun.

Późno wieczorem przyszedł do nas pan Dobrzański. Wyglądał bardzo źle, może przy skąpym blasku lojowej świecy. W ciągu kilku godzin schudła mu twarz, włosy najeżyły się. Z początku milczał, zwiesiwszy głowę na piersi; spostrzegł jednak, że mama jest niezwykle smutną<sup>48</sup>, i zaczął opowiadać nowiny głosem apatycznym i ochrypłym.

Dowiedzieliśmy się, że wojsko od godziny wyszło z miasta, że pani majorowa jest chora, a pan pocztmajster, który przez swoją lunetę nic nie widział z dzwonnicy, pokłócił się z żoną o to, że nie pozwoliła mu wyjechać i na miejscu przypatrywać się bitwie.

<sup>47</sup>była znużoną (daw.) — dziś: była znużona. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>jest (...) smutną (daw.) — dziś: jest smutna. [przypis edytorski]

Osobliwe też były dzieje pana kasjera. Pod koniec bitwy stracił on wszelką przytomność i chciał przebrać się albo za Żyda, albo za kobietę. Gdy zaś pan Stachurski z panem Władzińskim zaczęli dzwonić na trwogę, co przerwał im ksiądz proboszcz z organistą, pan kasjer schował się w magistracie do piwnicy. Dopiero gdy wszystko ucichło, wyszedł z ukrycia, twierdząc z najlepszą miną, że on tylko na żarty udawał przestraszonego.

Lecz i tym razem niedługo trwał jego dobry humor. Któryś z mieszczan dał znać, że idzie wojsko, a pan kasjer tak się zmieszał, że uciekł z miasta i nie ma go do tej pory.

— Gdzie on może być? — spytała mama.

— Widzieli go, że biegł w tę stronę, za ogród pani. Zapewne siedzi w parowie i prześpi w nim całą noc.

— To chory człowiek — rzekła mama, wzruszając ramionami.

Nauczyciel kiwnął ręką.

— To jest osioł i strachopłoch, który chce udawać bohatera. Z obawy przed jedną stroną wybrał sobie jakąś nominację, a ta znowu spać mu nie daje. Wyobraża sobie, że jest znakomitością i że tylko jego ścigają; więc chowa się po piwnicach i jarach. Słaba głowa, słabe serce i pycha, to najniebezpieczniejszy rodzaj ludzi — dodał nauczyciel, jakby do siebie.

Ostatnie wyrazy ukłuły mnie. Zdawało mi się, że słyszę w nich groźbę nowych nieszczęść, gorszych aniżeli wszystko, com widział dotychczas.

Było już późno i pan Dobrzański parę razy chciał pożegnać się z nami. Ale mama zatrzymywała go.

— Zostań pan jeszcze chwilę — mówiła. — W dzień ukrzepiłam się jako tako, ale teraz jestem tak rozstrojona, że wszystko mnie przeraża. Posiedź pan...

I nauczyciel siedział.

Zegar wykukał jedenastą i świeca już się dopalała, kiedy usłyszeliśmy na ganku czyjeś kroki.

— Pewnie kasjer wraca ze spaceru — mruknął pan Dobrzański.

Otworzyły się drzwi i ukazał się — człowiek z pustej chaty. Kiedy przestąpił próg i podniósł białą głowę, zdawało się, że stoi olbrzym.

— Niech będzie pochwalony — rzekł.

Nikt mu nie odpowiedział. Jego przyście do nas po takim dniu i o takiej porze było czymś nadzwyczajnym.

On długą chwilę patrzył w twarz panu Dobrzańskiemu, który spuścił oczy. Następnie zwrócił się do mamy:

— Przyprowdziłem pani gościa — rzekł łagodnym głosem.

Myślałem, że chyba mój ojciec wstał z grobu i przyszedł z tym człowiekiem-upiorem. Mama chciała coś odpowiedzieć, ale tylko otworzyła usta i patrzyła zdumiona.

W ciemnej sieni ktoś stał.

— Gość jest trochę... niezdrów, ale to nic wielkiego — mówił siwy człowiek. — Jest raniony, ale...

— Władek!... — krzyknęła mama, z rozkrzyżowanymi rękoma rzucając się do sieni.

— Ja, mammo!... — odpowiedział mój brat.

Gdy wszedł do pokoju, zobaczyłem, że ma głowę i lewą rękę owiniętą w szmaty.

Mama chciała go porwać w objęcia, ale nagle padła na kolana i objęła go za nogi.

— Moje dziecko... moja dziecina... — szeptała. — Ty żyjesz?... tyś ranny... O, com ja tu wycierpiała, tęskniąc za tobą... Ty żyjesz?... Teraz już nie puszczę cię z domu, niech się dzieje co chce... Nie cierpię wojny, nienawidzę!... dzisiejszy dzień zabrał mi całe życie.

— Co mama robi?... — mówił brat, na próżno usiłując jedną ręką podnieść ją z ziemi.

Siwy człowiek dotknął ramienia mamy.

— Niech mu pani pozwoli odpocząć — rzekł. — On jest zmęczony.

Mama wyprostowała się jak sprężyna.

— Prawda, on zmęczony...

Ale znowu pochwyciła zdrową rękę brata i zaczęła ją całować.

— Mammo!... mammo!... — mówił brat, cofając się. Ale było widać, że nie ma sił.

Wtedy stary człowiek delikatnie odsunął mamę, wziął brata wpół i zaprowadził go na kanapę.

— Niech mu pani da kielich wódki — rzekł do mamy — bo on tego potrzebuje, a w mojej chacie nie było...

Pan Dobrzański pobiegł do szafy, nalał wódkę i podał bratu.

Władek wypił duszkiem.

— Już mi dobrze!... — powiedział. — Już o mnie nie myślcie... Jestem lekarzem i znam się na takich skaleczeniach. Za miesiąc będę zdrow...

— Ale już nie pójdziesz nigdzie!... — zawołała mama.

— Naturalnie — odparł ze słabym uśmiechem, spoglądając na swoją rękę.

Mamo — dodał po chwili, wskazując na siwego człowieka — podziękuj mu. Kiedym niedaleko jarów upadł ścigany, on mnie podniósł, zaprowadził do swojej chaty i, nie rozumiejąc nawet jakim sposobem, ocalił. Narażał się na oczywistą śmierć, bo żołnierze stali pode drzwiami i wołali: „On tu musi być!”. Chyba cud zrobił, że odeszli...

Wszyscy zwróciliśmy oczy na siwego człowieka, a on odparł:

— Cud nie był trudny. Powiedziałem oficerowi: „Do mnie nikt nie przyjdzie ukryć się, bo mnie nazywają szpiegiem...”. Oficer mruknął: „Łajdak!” — i natychmiast cofnął żołnierzy. Bał się widać, aby który z nich nie dotknął mego progu...

Taki cud zrobiłem — dodał, potrząsając głową.

— Bóg policzy ci to za dawne winy — głucho odezwał się nauczyciel.

Starzec nagle wyprostował się.

— Winy?... — spytał, bystro patrząc na pana Dobrzańskiego. — Od piętnastu lat dźwigam ciężar jakiejś winy, ale może dopiero ty, dawny kamracie, powiesz mi: com ja komu zawinił?

Śłużyliśmy razem, pamiętasz? Odnaczyliśmy się jednakowo... A kiedy wyszliśmy z kraju, cierpiałem nędzę gorszą niż dziesięciu takich jak ty. Powiedźże teraz: na jakiej zasadzie ty robisz się moim spowiednikiem i obiecujesz mi odpuszczenie win?... Jakich?... Nazwij człowieka spomiędzy żywych czy umarłych, który by jedną łzę uronił z mego powodu?... Nie zważaj na tych świadków — dodał, wskazując na matkę i brata. — Owszem, niech dowiedzą się, co myśleć o mnie...

Nauczyciel wystąpił krok naprzód.

— Prawda — odparł — służyliśmy razem. Byłeś waleczny i zdolny. Ale na emigracji szatan cię opętał...

— No, i cóż zrobił ze mną ten szatan?

— Siałeś niezgodę... osłabiałeś ducha...

— A tak — westchnął starzec. — Ja osłabiałem, ale za to wy umacnialiście go. Zaręczaliście, że pomogą Francuzi; ja twierdziłem, że nie pomogą. Czy pomogli?... Wierzyliście w ruch piętnastu milionów chłopów, a ja nie wierzyłem. Gdzież dzisiaj są te miliony?... Dowodziliście, że rękami weźmiecie karabiny, a karabinami armaty, a ja was przekonywałem, że sto karabinów znaczy więcej aniżeli tysiąc gołych rąk. Zakrzyczeliście mnie. A teraz... masz odpowiedź!...

I wskazał krwawe piętna chustki, którą brat miał związane czoło.

Nauczyciel spuścił głowę. Matka przytulona do brata drżała, a mnie zdawało się, że między dwoma starcami odbywa się jakiś wielki sąd.

— I to nazywa się zdradą? — mówił gość z uniesieniem. — Wypowiadać swoje przekonania jest obowiązkiem obywatelskim i dopiero wy zrobiliście z tego występki. Powiesz, że niezgadanie się z wolą ogółu psuje karność publiczną; ale czy to wy byliście ogółem? Byliście partią i ja partią, a przecież ja was nie nazywałem zdrajcami.

— Różnica zdań to bagatela — mruknął nauczyciel. — Chociaż zniechęciła ona do ciebie ludzkie serca.

— Bagatela? — powtórzył gość. — A jednak na tej zasadzie odsunęliście się ode mnie na emigracji, a gdy wróciłem do kraju, nazwaliście szpiegiem...

— Nie na tej...

Stary człowiek cofnął się i zaciskając pięści, wykrzyknął:

— Nie na tej? Więc na jakiej? Jak ty śmiesz teraz jeszcze kopać mnie, nędzarza, którego już zabilicie moralnie?... Wszakże ja ciebie rannego z placu uniosłem... W Paryżu dzieliłem się z tobą chlebem. I tak mi płacisz?...

— Prawda — rzekł nauczyciel — wspierałeś nas, nawet hojnie... Ale... skąd miałeś pieniądze?... — dodał prawie szeptem.

Gość nagle ochłonął z uniesienia. Uderzył się w czoło, jakby coś przypominając sobie.

— Żołdu nie brałeś — mówił nauczyciel.

— Mieszkalem z daleka od wszystkich i nikogo nie przyjmowałem. Czy tak?... —  
pochwycił stary człowiek z szyderczym uśmiechem.

— Tak, wystrzeगाłeś się nas. Ale pomimo to... wiadano, że masz parę mieszkań,  
w domu nie nocujesz, że nawet przebierasz się za wyrobnika.

Starzec śmiał się gorzko.

— Więc śledziliście mnie?... Nie wiedziałem!... I żaden mnie nie ostrzegł, żaden nie  
spytał, co robię?... nawet ci, którzy korzystali z podejrzanych pieniędzy...

— Wiesz, że przestaliśmy z nich korzystać.

— Wiem. I zaraz awansowaliście mnie na zdrajcę!

Zbliżył się do nauczyciela i poklepał go po ramieniu.

— Ale czy wiesz, skąd ja, nie biorąc waszego żołdu, miałem jednak pieniądze?...  
Pracowałem, panie Dobrzański, pracowałem ciężko, po nocach... Umiejąc tylko musztrę,  
aby nie umrzeć z głodu, zostałem... gałganiarzem.

Nauczyciel patrzył na niego z oznakami przerażenia.

— No, i musiałem kryć się przed wami — mówił starzec. — Bo cóż byście powie-  
dzieli, dowiedziawszy się, że wasz kolega i kapitan nocami przetrząsa śmietniki... Nie  
wierzysz?... Wstąp kiedy do mojej chałupy, to pokażę ci pamiątki z Paryża: bilety roczne  
na prawo zbierania gałganów. Mam nawet dowód, że kiedyś znalazłem kolczyk brylan-  
towy, za który dano mi tysiąc franków. Może i teraz powiesz — szydził starzec — żem  
słusznie nazwany zdrajcą, bom poniżył rangę? Naturalnie, podniósłbym ją, biorąc żołd  
i głosując z wami razem za wojną!...

— Straszna omyłka! — szepnął mój brat.

Nauczyciel był bardzo zmieniony...

— Oburzały mnie twoje zdania — rzekł — ale... nie ja rozpuszczałem wieści o tobie,  
przysięgam na Boga!... — dodał, uderzając się w piersi. — Owszem, broniłem cię wobec  
innych...

Władek wyciągnął rękę do starca.

— Panie — rzekł, dławiąc się wyrazami — swoją drogą zrobię wszystko, aby ci po-  
wetować krzywdę. Ludzie dowiedzą się, że cierpiałeś niesłusznie.

Stary człowiek smutnie pokiwał głową.

— Nie zapomną mi inni, nawet ty sam, że, jak mówi Dobrzański, osłabiałem ducha...  
Miałem czas zastanowić się nad moim położeniem. Rozsądek przepowiadający klęskę jest  
jak puszczyk na cmentarzu, który woła: „Nie wstaniesz!...”. Taki głos jest zawsze niena-  
wistny. A im dokładniej spełni się przepowiednia, tym większa niechęć do proroka...  
Dlatego — dodał po chwili — już nie spodziewam się ludzkiej życzliwości. Przesaną  
mnie nazywać zdrajcą, a zaczną wołać: „Patrzcie, to ten zły wieszczek, który widział nie-  
bezpieczeństwo i nie zaradził!”. Świat nie pyta, cośmy mówili, ale: czyśmy zapobiegli  
nieszczęściu? Tego już nie umiałem zrobić.

Umilkł, a my odetchnęliśmy, bo każde jego słowo padało nam na duszę jak kamień.

Nagle pan Dobrzański zbliżył się do starego człowieka. Objął go rękoma za szyję i ze  
łkaniem oparł głowę na jego piersi. Mama całowała brata, szepcząc: „Moje dziecko!...  
moje dziecko!...”, a ja — już nic więcej nie widziałem, bo oczy zasły mi łzami.

Po chwili odezwał się starzec:

— Czas do domu. Bądźcie zdrowi!

— Chodź do mnie — prosił, ściskając go za rękę, pan Dobrzański.

Starzec uśmiechnął się.

— Oto zrobiłbym ci przysługę!... Jeszcze zaczęliby o tobie mówić to samo, co o mnie...  
Bądźcie zdrowi — dodał, podając rękę bratu.

— Panie — rzekła mama — panie... niech cię Bóg błogosławi... Odwiedzaj nas i pa-  
miętaj, żeś znalazł wiernych przyjaciół... Czegokolwiek będziesz potrzebował, odwołaj się  
do nas... Rano i w wieczór modlić się będziemy za ciebie...

Uklonił się nisko i odpowiedział ode drzwi:

— Jeżeli pozyskałem waszą łaskę, proście Boga, ażeby mi... śmierć zesłał. Oto czego  
żądam.



I z wolna wyszedł z pokoju.

Teraz wszyscy zajęli się Władkiem. Niania sprowadziła felczera, który opatrzył mu rany, a do saloniku wniesiono łóżko i kanapę dla nauczyciela, ten bowiem oświadczył, że będzie pilnował rannego, dopóki nie odzyska sił.

Noc zeszła niespokojnie. Władek niewiele spał, nauczyciel wcale się nie rozbierał, ja miałem trochę gorączki, a mama po kolei zaglądała to do mnie, to do brata. Dopiero po wschodzie słońca zmorzył nas sen tak, że wstaliśmy około dziesiątej.

Brat nie miał się źle, ale dokuczaly mu świeże rany i mówił, że jest rozbity ze znużenia. Istotnie, z trudnością poprawiał się na łóżku, sykając niekiedy z bólu.

Mama ukradkiem ocierała oczy; pomimo to, dawno nie była tak rzeźwą jak dzisiaj. Wszystko ją interesowało, zaglądała do każdego kąta, nawet głos jej odzyskał siłę i dźwięczność.

Dzień był pochmurny i zimny. Na polach rozścielała się mgła; co godzinę padał deszcz drobny jak rosa; powietrze było surowe. Zdawało się, że to nie maj, ale październik.

W sieni usłyszałem wycieranie nóg i głos pana kasjera. Po chwili weszła do saloniku mama.

— Kasjer — szepnęła do brata — chce cię przywitać. Czy można?...

— Ale bardzo proszę — odparł Władek. — Nawykłem do licznego towarzystwa i po prostu boję się tego, że dziś widzę tylko parę osób.

— Nie zmęczy cię?

— Przeciwnie, rozweseli...

— Gdy zaczniesz kłamać — mruknął nauczyciel.

Wszedł pan kasjer z zadartą głową i taką miną, jak gdyby czegoś wielkiego dokazał. Zbliżył się do Władka i mocno targnąwszy go za rękę, rzekł uroczyście te wyrazy:

— Czołem bohaterowi!

Brat mój, który miał wstręt do pozowania, skrzywił się na taki komplement. Spozstrzegła to mama i szybko zwróciła się do kasjera z pytaniem:

— Gdzie to pan był dziś w nocy?

— Pamiętna noc — westchnął kasjer, rozwalając się na fotelu. — Nie zapomnę jej, choćbym żył milion lat.

Pan Dobrzański wydał głos środkujący między śmiechem i kaszaniem. Kasjer spojrział na niego spod oka i w znaczący sposób ruszył brwiami.

— Cóż to było? — pochwyciła mama.

— Opowiem państwu, bo to, co mi się trafiło, wygląda na wyjątek z historii Rinaldiniego. Nadzwyczajne wypadki... i tragiczne... Bardzo tragiczne!...

Poprawił się na fotelu, odchrząknął i mówił:

— Otóż, przekonałem się na swoje własne oczy, że nasz pustelnik, ten zza olszyny, jest rzeczywistym szpiegiem... I to bardzo niebezpiecznym...

Pan Dobrzański podniósł się z krzesła, ale Władek mrugnął na niego.

— Z ukrycia — ciągnął kasjer — widziałem, jak do jego chaty wstępował oficer z kilkoma żołnierzami i długo z nim rozmawiał. Ale to nic. Widziałem go bowiem drugi raz, jak dobrze po północy wracał z miasta. Byłem pewny, że znowu chodził porozumiewać się z wojskiem...

— Wojska już nie było — wtrącił gniewnie nauczyciel.

Lecz mama spojrzała i umilkł.

— Nie jestem obowiązany wiedzieć o tym, czy wojsko było lub nie — odparł kasjer rozdrażnionym tonem. — Dla mnie wystarcza, że widział szpiega, który idzie tam, gdzie spodziewa się znaleźć wojsko.

Brat niespokojnie poprawił się na łóżku i słuchał.

— Com przebył w tych jarach przez całą noc, trudno opisać — mówił kasjer. — Dosyć, gdy powiem, że za każdym krzakiem widziałem co najmniej dwu nieboszczyków...

— To nerwowe — odezwał się brat, przygryzając usta.

— To jeszcze nic. Widma były, znikły i basta. Ale nad ranem zdarzyła się gorsza rzecz: otoczyło mnie kilkunastu zbrojnych...

„Kto panowie jesteście?”, pytam.

„My, widzisz, kim jesteśmy — odpowiedział jeden — ale kto ty jesteś i co tu robisz?...”

Naturalnie, powiedziałem, że ukrywam się i pokazałem moją nominacją<sup>49</sup>... Co za szczęście, że jej nie polknął! — dodał, patrząc na mamę.

— Ubyłby pomocnik naczelnika parafii — mruknął pan Dobrzański. Jednocześnie zamknął oko i skrzywił się w sposób mało poważny.

Kasjer odwrócił się od niego wraz z fotelem.

— Pokazałem moją nominacją — powtórzył — no, i zaczęliśmy gawędę.

„Przegraliśmy na łeb na szyję!”, mówił jeden ze zbrojnych.

„Jakże nie mieliście przegrać — odpowiedziałem — jeżeli tu pod miastem siedzi szpieg”.

I powtórzyłem wszystko, com widział i słyszał. Byli rozwścieczeni.

Brat z oznakami wzruszenia usiadł na pościeli. Pan Dobrzański wstał z krzesła i słuchał z szeroko otwartymi oczyma.

— No i cóż?... — spytał Władek.

— A no i cóż... — roześmiał się pan kasjer. — Powiesili...

— Co? — krzyknął nauczyciel.

— Powiesili starego szpiega...

— Jezus! Maria!... — jęknęła mama i schwyciwszy się oburącz za głowę, wybiegła z saloniku.

— Człowieku — zawołał mój brat — ależ ten starzec niewinny!...

Kasjer zbladł.

— Miałbym się omylić?... — szepnął kasjer. — Ale dlaczegoż on o tym nie powiedział, dlaczego nic nie chciał mówić?... Dlaczego wreszcie pan Dobrzański, który go podobno znał, nigdy go nie bronił?...

Nauczyciel chrząknął, jakby pchnięty nożem, a w oczach błysnął mu niedobry płomień. Przyskoczył do kasjera i podniósł rękę, chcąc go uderzyć, ale zastanowił się i schwytał go za kołnierz.

— Podły!... — mówił, strasznie patrząc na niego. — Podły!... bij się ze mną albo... nogami cię zdeptę!...

— Dobrze! — odparł zuchwale kasjer, z wielką siłą wydzierając mu się z rąk. — Dobrze!... będę się z panem bił za takie zniewagi...

— Tu... w olszynie będziesz się bił!... — mruczał nauczyciel i przypadł do brata.

— Władek — zawołał — wstawaj!... Zbierz na kilka minut siły i wyjdź z nami.

Nagle odwrócił się — kasjera nie było w pokoju.

— O, nie uciekniesz! — roześmiał się.

Pochwytał kij i czapkę i wyszedł na ulicę tak silnym krokiem, jak gdyby mu ze trzydzieści lat ubyło.

— Gdzie mama, Antku? — spytał brat. — Idź za mamą... Idź zaraz!... — dodał niespokojnie.

Na podwórzu nie było mamy, ale powiedziano mi, że poszła do ogrodu. W ogrodzie także jej nie było, lecz gdy zbiegłem na dół, zobaczyłem, że przez łąkę idzie w stronę jaru. Dopędziłem ją.

— Dobrze, że tu jesteś — rzekła matka, dysząc ze zmęczenia.

Mocno ujęła mnie za rękę i tak szliśmy oboje w kierunku pustej chaty.

Deszcz padał, mgła zgęstniała jeszcze bardziej. Przy pochmurnym dniu ledwie mogłem rozpoznać wąwozy i krzaki, między którymi niegdyś wymykałem się do pustelni nieszczęśliwego starca. Serce ścisnęło mi się, kiedy przypomniałem sobie te słoneczne dni, te roje ptaków i siebie samego, jak z ręką na pałaszu podkradałem się — o, tu...

Usłyszeliśmy szmer znajomego mi potoku, i nagle zatrzymaliśmy się oboje. Ktoś prędko szedł ku nam. Kamyki staczały się ze wzgórza, a tuż za nimi ukazał się ów chłopiec, który służył u starca i odprowadził go od nas wtedy, w czasie zawiei.

Chłopak był ubrany w polataną koszulę i podarte majtki. Nie miał ani butów, ani czapki. Poznał nas z daleka i wołał:

— To pani idzie?... Pani!...

— Gdzie twój pan? — zapytała mama.

Chłopiec pokazał ręką na wysychające drzewo.

<sup>49</sup> *pokazałem moją nominacją* (daw.) — *pokazałem (...)* nominację. [przypis edytorski]

— Oho! — odparł, zacinając się — poszedł stary... poszedł na dyndus!...

I obtarł czerwone oczy wielkimi, brudnymi pięściami.

— Widzi pani ten stryk?... — dodał, wskazując na kawałek powroza, zwieszający się z gałęzi.

Matka ze zgrozą odwróciła oczy i usiadła na kamieniu. Odpocząwszy długą chwilę, spytała:

— Gdzie jest?...

— Stary? — rzekł chłopak. — Stary leży w izbie. Zdjąłem go ładnie, zaniósłem jak się patrzy...

— Dosyć!... — przerwała matka i poczęła z trudnością wstępować na wzgórze.

Od tej pory, kiedy ją z bliska widział, chata skurczyła się jeszcze bardziej i zapadła w ziemię. Słomiany daszek zgnił, drzwi oberwane trzymały się tylko jednej zawiasy, ściany były pełne szpar.

Mama zatrzymała się u progu. Na twarzy jej ukazał się wyraz takiego żalu i trwogi, że byłem pewny, iż ucieknie, nie zajrzawszy do wnętrza chaty. Wnet jednak przemogła się i weszliśmy.

Na klepisku w sionce połyskiwała kałuża ciemnej wody. Chłopiec stanął przy drzwiach na lewo i otworzył je z ciężkim zgrzytem.

Przy skąpym świetle, które zaglądało tu przez kilka szybek, zobaczyłem nędzną izdebkę z wałącym się piecem. Był w niej pień, ława, stół ze zmurszałych desek i na pozór — nic więcej.

Chłop, milcząc, wskazał ręką w kąt, gdzie na ziemi leżał jakiś długi, szary przedmiot.

Mama uklękła i zasłoniwszy oczy, zaczęła szeptać pacierz.

Stopniowo mój wzrok oswoił się z brakiem światła w izbie. Wtedy zobaczyłem, że pod ścianą leży człowiek, zakryty czarną płachtą. Twarde jej fałdy ułożyły się w taki sposób, że można było poznać głowę mocno zgiętą na piersi i trochę wzniesiony łokieć lewej ręki.

Prawa ręka opadła na ziemię i spod płachty wysunęły się blade palce z niebieskawymi paznokciami.

— „Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie”... — szeptała matka.

— „Wieczne odpoczywanie”... — powtórzyłem.

Potem na klęczkach zbliżyłem się do zwłok i pobożnie ucałowałem rękę, która mi ocaliła brata.

---

Dziś za miastem już nie ma samotnej chaty. Ale potok szemrze jak dawniej, na wzgórzach latem pachną wrzosy, a w wąwozach rozlegają się radosne śpiewy ptaków.

Nad źródłem stoi czarny ze starości krzyż, na którym jeszcze można wyczytać: ...*Świątłość wiekuista*... Resztę mchy zatarły. Gdzieś tam widać rdzawe osobliwych form piętna, jak gdyby w tym miejscu przed laty nawet drzewo krwawymi łzami płakało.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-omylka>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, Grzechy dzieciństwa i inne nowele, Dom Wydawniczy "Jota", Warszawa 1991.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0747-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.